



OD NAJMŁODSZYCH LAT
młodzież szkolna w NRD uczy się sta-
wiać pierwsze kroki na bieżni. Właś-
nie instruktor daje wskazówki, jak nale-
ży prawidłowo startować (ob. str. 19)

PRZY WYBORCZYCH URNACH



Wcześniej niż zwykle wstała w niedzielę ludność stolicy. Już od wczesnego rana na wielu ulicach panował ruch i gwar. Do lokali wyborczych we wszystkich dzielnicach miasta spieszyli mieszkańcy stolicy. Wielu rodziców zabierało ze sobą swe pociechy. Wprawdzie mała Basia czy Wojtuś nie mają jeszcze prawa głosu, ale bardzo chętnie pomogą tatusiowi i mamusi.

Maciej i Paulina Chalupscy z gromady Niedźwiada, powiat Łowicz, z gospodarską powagą składają swe głosy. Panka i Warackiego — kandydatów do gromadzkiej rady narodowej — znają przecież od dawna, wiedzą, że można na nich całkowicie polegać, są pewni, że obaj dbać będą troskliwie o interesy gromady



W WARSZAWIE jako jeden z pierwszych głosował w lokalu obwodowej komisji wyborczej nr 44, mieszczącym się w zniszczonym podczas wojny, a teraz odbudowanym — dla celów szkolnictwa — pałacu Sanguszków, Czesław Blicharski, z zawodu rymarz, a obecnie dyrektor Warszawskich Zakładów Skórzanych. W jego to mieszkaniu nr 14 przy ul. Twardej nr 22 w pamiętną noc sylwestrową na 1941 rok odbyło się pierwsze, historyczne posiedzenie Krajowej Rady Narodowej.

* * *

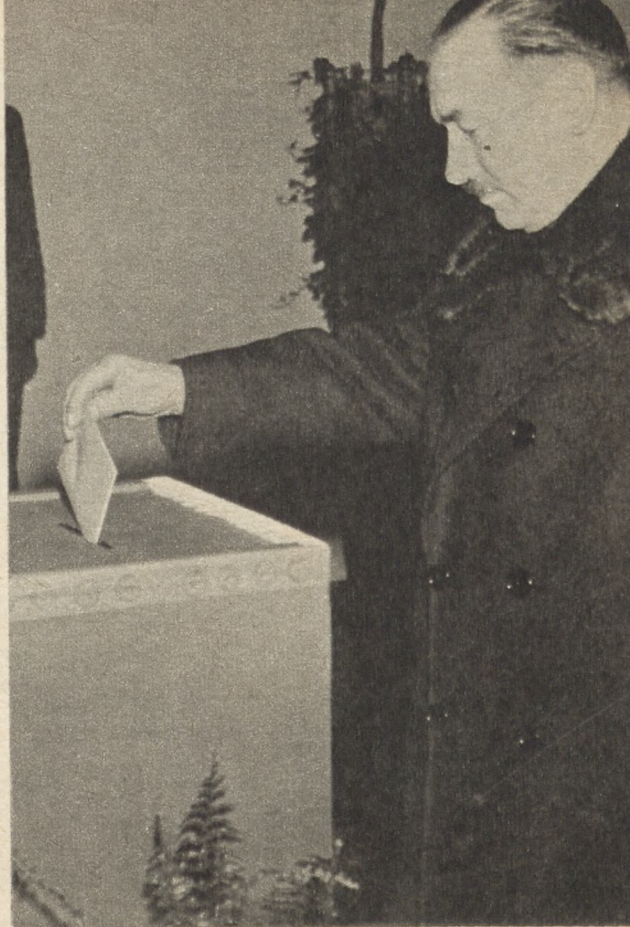
Daleko od ojczyzny na morzach i oceanach świata, stanęli — tak jak cały naród polski — przy urnach wyborczych marynarze Polskich Linii Oceanicznych i rybacy flotyli dalekomorskiej „Dalmor”. Do godziny 11 doniosły o całkowitym zakończeniu głosowania załogi 19 statków PLO i załogi 3 trawlerów „Dalmoru” łowiące na Kanale La Manche. (Statki te posiadały powyżej 25 wyborców i stanowiły obwody wyborcze). Z reddy portu Bombaj nadesłał depezę o zakończeniu wyborów flagowy statek Polskiej Marynarki Handlowej — „Batory”. Z rejonu Wysp Owczych zameldował o zakończeniu wyborów statek „Tobruk”. Załoga statku „Kościuszko” głosowała na wodach Oceanu Indyjskiego, statek „Marchlewski” — u wybrzeży Afryki, statek „Bałtyk” — na wodach Oceanu Atlantyckiego, statek „Marian Buczek” — na wodach Morza Północnego.

* * *

W bezpośredniej bliskości Prostynia, pow. Węgrów w woj. warszawskim — w Treblince mieściła się w latach okupacji katownia hitlerowska. Wśród mieszkańców Prostynia żyje pamięć potwornych zbrodni hitlerowskich, dzień wyborów — nabiera dla nich szczególnego znaczenia: oddając swe głosy za Frontem Narodowym wyrażają jednocześnie zdecydowaną wolę przeciwstawienia się imperialistycznym próbom uzbrojenia hitlerowskich ludobójców. Władysław Sobotko po wrzuceniu koperty do urny mówi: — Niech mój głos będzie również głosem mego starszego brata i ojca, którzy w sierpniu r. 1942 zostali zamordowani w Treblince.

Robotnicy i pracownicy umysłowi, mężczyźni, kobiety i młodzież — mieszkańcy stolicy — zbliżają się kolejno do stołu, na którym rozłożone są spisy wyborców. Na Żoliborzu od





W WARSZAWIE W LOKALU OBWODOWEJ KOMISJI WYBORCZEJ NR 200 MIĘDZY INNYMI GŁOSOWALI: J. CYRANKIEWICZ, K. ROKOSSOWSKI, B. BIERUT.

Jednym z najmłodszych wyborców w Warszawie była niewątpliwie Barbara Orzechowska — studentka I roku Wydziału Finansowego Szkoły Głównej Planowania i Statystyki. Jeszcze w przeddzień wyborów — była ona niepełnoletnia. Ale już 5 bm. — to jest w 18 rocznicę swoich urodzin zgłosiła się do obwodowej komisji wyborczej nr 238, mieszczącej się w samym sercu Miasteczka Akademickiego, aby wziąć udział w wyborach — już jako posiadająca prawo głosu obywatelka.

Najstarsza kobieta w Polsce głosowała o godzinie 9.30 w Ożimówku w powiecie Garwolin. Wyborcy znajdujący się w lokalu powitali serdecznym uśmiechem znaną całej okolicy 133-letnią Józefę Stankiewicz.

Nad samą Odrą, w Siekierkach w powiecie Chojna, wznosi się piękny pomnik chwały polskich i radzieckich sa-

perów, poległych w boju o sforsowanie Odry. Głosowali tam chłopcy okolicznych wsi, a między innymi Józef Jankowski, który w Dywizji Kościuszkowskiej walczył o wolność tej ziemi, a później — jako osadnik — ją zagospodarował.

W godzinach popołudniowych zaczęły maleć kolejki w lokalach wyborczych. W wielu obwodach już o tej porze wszyscy wyborcy oddali swe głosy. O godzinie 16 meldowały o całkowitym zakończeniu głosowania trzy obwody w Ostrowcu, dziewięć w Opolu, 77 obwodów w województwie bydgoskim, 20 obwodów powiatu prudnickiego itd.

Wysoka frekwencja w wyborach była świadectwem wagi, jaką przywiązują obywatele do wybieranych rad narodowych. Była równocześnie manifestacją jedności naszego narodu, wierności hasłom Frontu Narodowego, które głoszą naszą niezłomną wolę utrwalenia pokoju w Europie i pokojowego budownictwa w naszym kraju.

wczesnych godzin rannych lokale wyborcze wypełnione były głosującymi. Podwójna kolejka posuwała się jednak szybko. Wstępna procedura nie zabierała zbyt wiele czasu. Jedynie w godzinach południowych tworzyły się „ogonki“.



Wyborcy w pełni korzystali z zagwarantowanej ordynacją tajności wyborów, Aleksandra Srogowa wychodzi właśnie zza zasłony. W kabinie zapoznała się dokładnie ze spisem kandydatów na radnych i zastępców do stołecznej i dzielnicowej rady; teraz kieruje się w stronę urny, do której wrzuci kopertę ze swoim głosem.





SALA OBRAD KONFERENCJI KRAJÓW EUROPEJSKICH W SPRAWIE ZAPEWNIENIA POKOJU I BEZPIECZEŃSTWA W EUROPIE. KONFERENCJA OBRADO-



U góry: min. W. M. Molotow i premier Republiki Czechosłowackiej, Vilem Szirocky. Poniżej: wiceminister Marian Naszkowski i premier Józef Cyrankiewicz w rozmowie z wicemin. spraw zagranicznych ZSRR, W. A. Zorinem.



ŚWIAT NASZA KRONIKA

SFALSZOWANA depesza posłużyła Bismarckowi jako pretekst do zaatakowania Francji w roku 1870. Wojska Wilhelma II rozpoczęły wojnę w roku 1914, łamiąc uroczyste traktaty gwarantujące neutralność Belgii. Atak na Polskę w roku 1939 rozpoczął Hitler, zorganizowawszy szereg prowokacji na naszych granicach. Naloty na otwarte miasta, bombardowanie miast francuskich i angielskich w szczególności usprawiedliwiali hitlerowcy koniecznością wzięcia odwetu za bombardowanie Freiburga. Obecnie okazało się, że owo bombardowanie starego, zabytkowego miasta niemieckiego zostało dokonane przez niemieckie samoloty na rozkaz Goeringa. W czasie tego bombardowania od niemieckich bomb zginęło 47 Niemców, w czym 21 dzieci niemieckich.

Prowokacyjny nalot niemiecki na niemieckie miasto odbył się 10 maja 1940 roku.

Wiarołomstwo i prowokacja — stara to broń militarystów niemieckich. Historyczne doświadczenie powinno już chyba wystarczyć na to, by wobec Niemiec podjęto inne metody współpracy niż te, które opierają się na zaufaniu do tych właśnie klas niemieckich, czyniących z wojny — jak to już mówił Mirabeau — „narodowy przemysł Prus”.

Tymczasem wieloletnie wysiłki czynników kierujących polityką państw zachodniej Europy, a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, zmierzają do odbudowania militarystyki niemieckiej, do wskrzeszenia władzy tych, którzy dokonywali tak wielkich zbrodni w latach 1870-71, 1914-1918, 1939-1945. Obalenie „Europejskiej Wspólnoty Obronnej” stanowiło wielkie zwycięstwo narodów Europy zachodniej nad tymi planami, a zwłaszcza nad politykami amerykańskimi. Nowe układy podpisane potem w Londynie i w Paryżu zmierzają do tego samego celu: do odbudowy niemieckiej armii.

FRANCUSKI premier p. Mendes France zgodził się na wskrzeszenie Wehrmachtu (czyli siły, która w przeciągu osiemdziesięciu lat trzykrotnie zniaździła Francję), pod warunkiem, że wskrzeszenie to opatrzone będzie szeregiem gwarancji. Jak wynika z historii, dla militarystów niemieckich dać gwarancję — to nie przedstawia żadnych trudności. Podobnie jak złamać swe międzynarodowe zobowiązania, jak użyć w odpowiednim momencie oszustwa, prowokacji i zdrady. Pan Mendes France kładł duży nacisk na gwarancje również angielskie, czyli na ewentualną obronę Francji przeciwko zachodnio-niemieckiemu sprzymierzeńcowi. I te gwarancje miała Francja, co nie przeszkodziło Anglikom w ucieczce na swą wyspę w roku 1940.

Sprawa jest jasna: uzbrojenie zachodnich, mili-



WALA W MOSKWIE OD 29.XI DO 2.XII I ZAKOŃCZYŁA SIĘ PODPISANIEM WSPÓLNEJ DEKLARACJI PAŃSTW, UCZESTNICZĄCYCH W OBRADACH.

tarystycznych, odwetowych Niemiec stanowi groźbę dla całej Europy. Rząd radziecki zaproponował zebranie się przedstawicieli wszystkich państw europejskich, zanim parlamenty ratyfikują układy londyńsko-paryskie. Rządy zachodnie, nie bez nacisku amerykańskiego, odmówiły udziału w takiej konferencji. Stwierdziły one, iż konferencja taka może się odbyć po ratyfikowaniu układów. Nazywają takie pertraktacje rokowaniami „z pozycji siły”. Podobnie babcia Czerwonego Kapturka mogła by odpowiedzieć dzielnemu leśniczemu.

— Najpierw niech mnie wilk zje, a dopiero potem rozmawiajmy o obronie przed nim.

A PONIEMIAŻ narody nie chcą być zjedzone ani zgłodzone przy pomocy niemieckiej broni (mówi się na zachodzie, że armia Niemiec zachodnich dostać ma do dyspozycji nawet broń atomową i wodorową!). Konferencja w Moskwie jednak się odbyła. Stanowiła ona jeszcze jedno ostrzeżenie dla polityków amerykańskich i zachodnioeuropejskich. Konferencja krajów pokojowych stwierdziła, iż widzi przyszłość Europy w ustanowieniu i utrwaleniu bezpieczeństwa zbiorowego, a nie w podziale Europy na dwa wrogie sobie bloki. Niemniej w swej końcowej deklaracji konferencja stwierdziła:

„Państwa uczestniczące w niniejszej konferencji oświadczają, że w wypadku ratyfikacji układów paryskich zdecydowane są przedsięwziąć wspólnie środki w dziedzinie organizacji sił zbrojnych i ich dowództwa, jak również inne środki niezbędne do umocnienia ich zdolności obronnej, by ochronić pokojową pracę swych narodów, zagwarantować nietykalność swych granic i terytorium oraz zapewnić obronę przed ewentualną agresją”.

Przedstawiciele Polski wzięli udział w konferencji moskiewskiej. Leży bowiem jak najbardziej w interesie Polski, by nie stała sama w obliczu uzbrojonych, odwetowych Niemiec. W konferencji wzięli także udział przedstawiciele Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Ich stanowisko wyraża rzecz niezwykle cenną w polityce europejskiej. Wyraża ono opinię demokratyczną narodu niemieckiego.

Wiadomości nadchodzące z Niemiec zachodnich dowodzą niezbicie, iż linia podziału w narodzie niemieckim na zwolenników Wehrmachtu i jego przeciwników wcale nie przebiega wyłącznie po linii granic stref okupacyjnych. Przebiega ona poprzez cały naród niemiecki, którego zdrowa część, coraz liczniejsza i śmielsza, przeciwstawia się w różnorodnych formach przygotowaniom do nowej wojny.

Podnosi się w Europie znów wysoko fala oporu przeciwko polityce wojny.

JAN SZELAĞ

Fotoreportaż tygodnika „Ogoniok” dla „Świata”

Zdjęcia — DM. BALTERMANC

3 grudnia powróciła z Moskwy do Warszawy delegacja rządowa, która brała udział w konferencji krajów europejskich w sprawie zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa w Europie. Bezpośrednio po powrocie przewodniczący delegacji polskiej, premier Józef Cyrankiewicz, złożył oświadczenie, w którym m. in. powiedział: „Konferencja moskiewska jest dla narodu polskiego nowym, dobitnym dowodem, jak licznych, jak potężnych i jak serdecznych przyjaciół posiada dziś Polska”.

„...Kto słyszał wystąpienia na Konferencji Moskiewskiej przedstawicieli naszego wypróbowanego przyjaciela, wielkiego Związku Radzieckiego — przedstawicieli bratnich krajów — Czechosłowacji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, z którą łączy nas sprawiedliwa granica pokoju i przyjaźni na Odrze i Nysie, i innych krajów demokracji ludowej, kto słyszał głos uczestniczącego w Konferencji w charakterze obserwatora — przedstawiciela 600-milionowych Chin Ludowych, ten może stwierdzić w jak potężnej i solidarnej rodzinie narodów znajduje się dziś Polska, jak dalece jej bezpieczeństwo. Jej granice na Odrze i Nysie są sprawą całego obozu pokoju”.



Na salę obrad przybywają członkowie delegacji NRD: premier Otto Grotewohl i wicepremier Walter Ulbricht.

Rozmowa w kuluarach. Od lewej: ambasador węgierski w Moskwie Ferenc Münnich, obserwator delegowany przez rząd Chińskiej Republiki Ludowej, Czan Wen-tian, oraz węgierski min. spraw zagranicznych Janos Boldocki



WYPRAWA DO OFLAGU

MARIAN BRANDYS

Rys. K. FERSTER

PRZY wjeździe do miasteczka zagradza nas drogą szlaban kolejowy. Obsługa małej stacji jest przesadnie ostrożna. O pociągu jeszcze ani widu, ani słychu, a szlaban spuszczone już od kilku minut. Znosi się na dłuższe czekanie.

— Spójrz — szarpie mnie za rękaw towarzysz mojej wyprawy w przeszłość, Marian W. — jak Boga kocham: Dobiegniew! Stoi jak byk!

Wpatrujemy się obaj w tablicę na budynku stacyjnym. Ta zwykła znormalizowana tablica z czarnym prostym napisem jest dla nas nie-lada rewelacją.

Nazwę Dobiegniew znamy dłużej niż którykolwiek z dzisiejszych mieszkańców miasteczka. Byliśmy przy jej narodzinach w polskim Oflagu IIc pod niemieckim miasteczkiem Woldenberg. Któryś z naszych historyków obozowych wyszperał, że Woldenberg nosił niegdyś słowiańską nazwę Dobiegniew. Siedem tysięcy oficerów-jeńców bez dyskusji przyjęło tę hipotezę za pewnik. Dobiegniew stał się na czas niewoli konspiracyjnym pseudonimem Woldenberga. W ścisłej tajemnicy przed obozowym gestapo znaczyliśmy tą polską nazwą nasze sekretne gazetki, rozkazy, dzienniki jenieckiego samorządu, wzajemnie wymieniane powinszowania świąteczne oraz komicznie żałosne protokoły naszych rozpraw honorowych. Lubiliśmy tę nazwę, bo dźwięczała w niej dobra wróżba. Wierzyliśmy, że w Dobiegniewie dobiegniemy końca wojny, choć wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze czy koniec wojny przyniesie nam wolność czy śmierć.

Teraz ta obozowa, konspiracyjna nazwa „na niby” — czernieje na białej tablicy stacyjnej. Nie ma już niemieckiego Woldenberga. Jest polski Dobiegniew, miasto województwa zielonogórskiego.

Ogarnia nas złość na szlaban, który odgradza nas od wspomnień. Poczynamy głośno i gwałtownie domagać się przejazdu. Z okna stacji wychyla się jakaś głowa i mityguje nas wyrozumiale.

— Cóż wy za ludzie dziwni tacy? Jak szlaban otwarty, nikt nie przejeżdża. A tylko zamknąć, to zaraz wszyscy pchają się do przejazdu.

— To ci dopiero miasto, nie? — chociaż nasz poznański kierowca — skonać można ze śmiechu z takiego miasta, nie?!

Rzeczywiście Dobiegniew nie zdradza żadnych ambicji wielkomiejskich, jak nie zdradzał ich przedtem niemiecki Woldenberg. A jednak przez pięć lat to małe śpiące miasteczko było dla nas symbolem wielkiego świata. O pójściu pod konwojem do lekarza lub dentysty w Woldenbergu marzyło

się tak, jak się marzy o pięknych dalekich podróżach. Mnie tylko raz udało się dostąpić takiego szczęścia. Kiedy w drodze powrotnej od lekarza wachmani prowadzili mnie przez miasteczko, zobaczyłem dwoje dzieci bawiących się w słońcu. Był to dla mnie potężny wstrząs. Po powrocie do obozu uległem ostremu napadowi „choroby drutów kołczastych” i przez tydzień nie odzywałem się do nikogo słowem. Małeńki Woldenberg był dla nas wówczas za wielkim, za wspaniałym światem. Po zakosztowaniu tego wspaniałego świata życie za drutami stawało się już nazbyt okrutną męczarnią.

Z hukiem przelatuje obok nas oczekiwany pociąg. Uparty szlaban wreszcie się podnosi. Jeszcze czterysta metrów i stajemy twarzą w twarz z dawnym Oflagiem IIc. Od zielonej fali stości terenu wyraźnie się odcina prostokąt ziemi nagiej i piaszczystej. Skupisko niskich, niezgrabnych baraków, ze wszystkich stron wystawione na chłostę wiatrów. Najpiekniejszy, najsmutniejszy wydmuch pomorski, jaki można sobie wyobrazić.

Wbrew oczekiwaniom nie doznaję żadnych gwałtownych wzruszeń. Ogarnia mnie tylko zdziwienie. Boże, jakie

wyrosla po wojnie największa tuczarnia świń w Polsce, a major B. stał się na parę lat jej pierwszym dyrektorem. Pamiętam, że swego czasu wiadomość o powstaniu w Woldenbergu gospodarstwa hodowlanego bardzo mnie dotknęła. Teraz patrząc na świeżo pobielone baraki zmieniam zdanie. A cóż u diabła, miało tu powstać? Muzeum? Park narodowy? Przez pięć lat w tych obskurnych barakach mieszkali po świńsku ludzie. Niech sobie teraz świnię pomieszkają w nich po ludzku. Z tego przynajmniej wyniknie jakaś korzyść.

Na teren dawnego obozu, a obecnej tuczarni, dostajemy się bez trudu, dzięki przepustce z Ministerstwa PGR-ów, które uwierzyło naszym podstępnyim zapewnieniom, że nic na świecie nie interesuje nas bardziej od hodowli nierogaczyny. Na szczęście karmiciele świń dobiegniewskich są o tej porze zbyt zajęci, aby poddawać kontroli nasze fachowe zainteresowania. Zaraz za bramą obozową uwalniają nas od swej opieki. Pozostajemy sam na sam z naszą przeszłością.

Dopiero teraz zaczynamy odczuwać nerwowe podniecenie. Szybkie, tnące wspomnienia. Obskakuja nas ze wszystkich stron jak osławione brunatne

W czasie pięcioletniego pobytu w obozie nie widzieliśmy kobiety ani razu, nawet z daleka.

Na budynku dawnej wartowni obozowej wisi transparent z napisem: „Demaskujmy podżegaczy wojennych”. Niech nikt nie mówi, że to slogan. W dusznej atmosferze wspomnień jenieckich te słowa smakują jak źródłana woda.

Zatrzymujemy się w centralnym punkcie obozu, na placu apelowym, służącym jednocześnie za miejsce jenieckich przechadzek. I znowu jak przedtem uderza mnie skromny rozmiar tego miejsca. Po prostu podwóreczko.

Ileż to setek kilometrów przespacerowaliśmy w ciągu pięciu lat po niewielkim obwodzie tego zakłętą kręgu! Ileż światowych operacji strategicznych rozegrało się tu w rozmowach obozowych strategów. Ileż pamiętnych scen związało się na zawsze z tym placem.

Marian uśmiecha się do dalekiego wspomnienia: „pan generała będzie robiła...” pamiętasz? Śmiejemy się obaj. Z tych ponurych lat wynieśliśmy kilka wspomnień, które będą nas śmieszyć do końca życia.

W roku 1940 „witał” nas na tym placu niemiecki komendant obozu generał baron von Puttkammer. Stary pruski junkier musiał wynieść z domu klasyczne wykształcenie i kochał się w ozdobnych przemówieniach. Z wysokości swej ogromnej kobyły częstował nas oracją gęstą i słodką jak wydawany w niedzielę „Kunstthonig”. Obok generalskiego konia stał tłumacz z gestapo i tłumaczył słowa generała na polski. Zorientowaliśmy się natychmiast, że ten przeraźliwie chudy i zielonkawy na gębę stwór nie ma pojęcia o polskim i na stanowisku tłumacza zadekował się jedynie ze strachu przed frontem. Ozdobne przemówienie pruskiego miłośnika klasyki w transkrypcji tłumacza zaczynało się tak:

— Jak jeńce polskie będą grzeczne, to pan generała będzie im robiła na rękę... itp.

Cóż to był za widok nieporównany: ogromne uroczyste generalisko, wyoobrażające sobie, że dociera do nas cała finezja jego kunsztownych frazesów, obok mały gestapowski truposz z rozlatanymi oczami krzywo przysięgający, trzęsący portkami ze strachu przed odkryciem mistyfikacji.

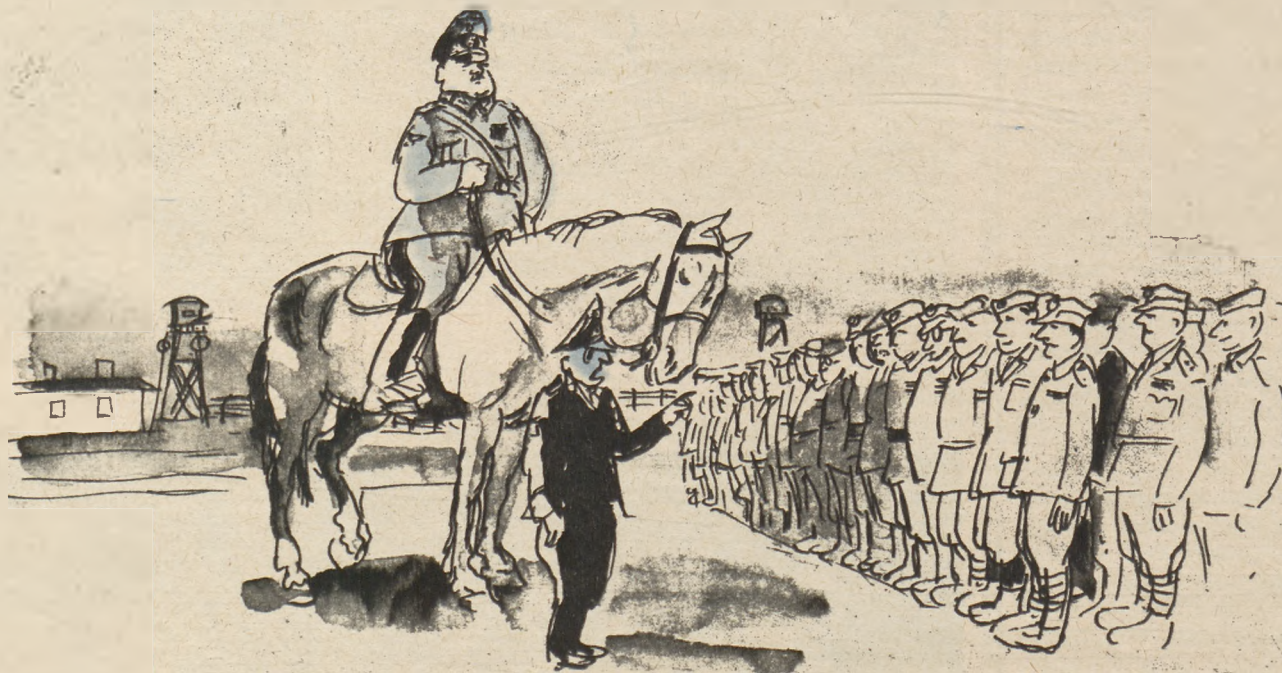
Siedem tysięcy polskich jeńców słuchało tego powitania w milczącym upojeniu. Po raz pierwszy widzieliśmy gestapowca bojącego się pójść na front. Po raz pierwszy widzieliśmy faszystowskiego oficera obełgującego w żywe oczy swego zwierzchnika. Był w tym słodki załazek nieuniknionej klęski wroga.

W jakiś czas potem zwierznicy niefortunnego tłumacza z „Abwehrabteilung” uznali widocznie, że „jeńce polskie nie były grzeczne”. Pewnego popołudnia na tymże placu apelowym, w najbardziej ożywionej porze spacerowej, otwarto do nas ogień z wież strażniczych. Dwóch jeńców zabito, kilku poraniono. Co było powodem tej strzelaniny, nie wiem do dziś. Sądzę, że był to daleki rykoszet jakichś nieznanych nam wydarzeń krajowych lub międzynarodowych. Lagerkommando wytłumaczyła ją fałszywym alarmem w kompanii wartowniczej. Ponieważ nie pozostawiono nam innego wyboru, musieliśmy uznać to wyjaśnienie za wystarczające.

Mój towarzysz Marian nie daje się wciągnąć w dłuższą rozmowę na temat tej krwawej demonstracji. Rozumiem jego pogardliwe wzruszenie ramionami. Nie ma powodu do przesadnego roztkliwiania się nad naszą martyrologią jeniecką. Wypadek na placu apelowym nie był przecież typowy. Nie na tym polegała specyfika Woldenberga. W zestawieniu z obozami koncentracyjnymi albo „akcjami” w kraju Oflag IIc był bezpiecznym pensjonatem. W Woldenbergu, poza wypadkami regulaminowymi

pchły woldenberskie, które w swoim czasie tyle zadawały nam cierpień. Mimo dokuczliwego wiatru robi się duszno. Zbyt wiele ciężkich chwil tu przeżyliśmy, aby to spotkanie po latach mogło być przyjemne. Stąpamy po zarosłych ścieżkach przedobozia tak niepewnie i ostrożnie, jakby to były tereny zaminowane.

Marian, orientujący się lepiej ode mnie w topografii obozu, pomaga mi w odnajdywaniu znajomych budynków. Oto — budynek „Abwehrabteilung”, czyli obozowego gestapo. Tu urzędował niesamowity okularnik Daumann. Każde jego zjawienie się w barakach zapowiadało nieszczęście. Teraz dom utracił swój złowieszczy charakter. Różowa tabliczka wyjaśnia, że mieści się w nim żłobek zakładowy. Młoda dziewczyna przygląda się nam zza białej firanki.



to wszystko małe! Niegdyś ten prostokąt ziemi był wielki jak miasto, ba: jak całe państwo. Teraz sprawia wrażenie zaledwie większego podwórka.

Na pierwszy rzut oka w wyglądzie obozu niewiele się zmieniło. Zlikwidowano tylko wieże strażnicze, a zieleń z drutów kołczastych zastąpiono parkanami z drucianej siatki. W dawnych koszarach batalionu wartowniczego po prawej stronie szosy mieści się teraz zarząd Państwowego Gospodarstwa Rolnego Dobiegniew, a po lewej, na terenie samego obozu — wzorowa tuczarnia trzody chlewnej. Pomysł tuczarni — tak samo jak nazwa Dobiegniew — urodził się jeszcze w Oflagu IIc. Nieoceniony kierownik naszej kuchni obozowej, major B., marzył zawsze o zakonspirowanym chlewiku na użytek kuchenny. Z jenieckich pragnień



mi, na ogół nie strzelano do ludzi, nie poddawano ich wyrafinowanym torturom, nie pastwiono się nad nimi fizycznie. Zylisimy „za parawanem genewskich praw”, jak napisał jeden z obozowych poetów. Na skrawku wrogiej ziemi, ogrodzonej naelektryzowanymi drutami, pozwolono nam się bawić w imitację życia — z własnym teatrem i kawiarnią, z własną polityką i ekonomią, z własną pocztą, prasą, literaturą, kursami języków obcych, nawet z sądami honorowymi. Odebrano nam tylko trzy prawa: prawo do przekraczania naelektryzowanej obręczy drutów kolczastych, prawo do normalnej pracy fizycznej, prawo do wyłączania się choćby na chwilę z towarzystwa stu pięćdziesięciu współlokatorów baraku. To wystarczyło, aby z pobytu w „pensjonacie” woldenberskim uczynić najśrodszą torturę psychiczną, a nerwy nasze doprowadzić do stanu, który uzyskał już naukową nazwę „choroby drutów kolczastych”. W Woldenbergu ludzie nie gineli pod obcasami SS-manów, jak w Oświęcimiu. „Terapia” woldenberska polegała na doprowadzaniu ludzi do oblędu.

Ileż to razy nocą wdierał się w nasz sen złowrogi błysk reflektorów, a cisza nocna wybuchała strzałami i krzykiem. Siedząc na pryczach, wsłuchiwałem się z drżeniem w te hałasy. Wiedzieliśmy, że znowu ktoś z naszych nie wytrzymał i rzucił się na druty. Rano z baraku do baraku przekazywano sobie wiadomość, kogo odprowadzono do izolatki w izbie chorych.

Kronika woldenberska zanotowała przynajmniej kilkudziesięciu takich nieszczęśników. Niektórych z nich pamiętam. Pamiętam, na przykład, spokojnego i zawsze jakby przygaszonego podporucznika rezerwy, w cywilu kierownika szkoły powszechnej, który pewnego dnia na apelu porannym wyjął nam, że jest królem Polski Władysławem V i zażądał od przyjmującego raport sonderfuhrera publicznego złożenia hołdu.

Pamiętam także pewnego kapitana zawodowego, o którym mówiło, że do wojny pracował w „defensywie”. Cierpiał na manię prześladowczą, bał się, że „komuniści obozowi” chcą go przez zemstę otruć. Nie przyjmował żadnych pokarmów, poza przysyłanymi z domu jajkami. Wreszcie i do nich stracił zaufanie. Po miesiącu głodówki umarł z wycieńczenia. Litując się nad męczarniami tego człowieka, nie można było oprzeć

się myśli, że u podstaw tych męczarni tkwić muszą nie lada zbrodnie.

Pamiętam młodego zdrowego chłopca ze wsi, świeżo promowanego absolwenta szkoły oficerskiej. Był to fanatyczny zwolennik spacerów i ćwiczeń gimnastycznych, należący do dość

uprzykrzonej kategorii „rannych ptaszków”. Kiedy my budziliśmy się dopiero na zniechęcający sygnał gwizdka — on powracał już z porannego spaceru wyświeżony, w wypastowanych butach, promieniejący zdrowiem i energią. Lubił gromić gnuśny tryb życia barakowych „intelektualistów” (w naszym baraku intelektualista zostawał każdy, kto późno wstawał i źle zamiatł barak), przepowiadając im, że gnicie w łóżku i stronięcie od gimnastyki musi doprowadzić ich do nieuchronnego szaleństwa. Któż mógł wówczas przypuszczać, że pod tą wspianą, denerwującą zdrową powłoką cielesną wątła duszyczka łamała się już w strachu przed nadciągającą chorobą. Pewnego dnia i on nie wyszedł na spacer poranny. Dziwnie sposepniały stał na piętrowej pryczy z jedną nogą podciągniętą do góry i bijąc ramionami w białych „jegerach” jak skrzydłami. Krzyczał, że jest bocianem. Kiedy przemocą ściągnięto go na dół, dostał ostrego ataku furii. Tego wypadku nie dało się zatrzeć przed Lagerkommando, a zresztą i tak w izolatkach nie było miejsca. Nieszczęśnika w kaftanie bezpieczeństwa przewieziono do szpitala dla umysłowo chorych w Hohewerde. Tam furiiatów uspokajano szybko i na zawsze.

Było ich wielu tych nieszczęśników na przestrzeni pięciu lat niewoli woldenberskiej. Byli wśród nich dumni królowie, generałowie i prorocy. Ale byli także biedni umęczeni ludzie, których nawet szaleństwo nie potrafiło wyzwolić z trawiącego ich strachu. Nie wszyscy mieścili się w izolatkach polskiej izby chorych. Lekarze polscy bronili ich jak tylko mogli przed wysłaniem do niemieckiego szpitala. Dlatego wielu z nich, uznanych z konieczności za rekonwales-

centów, tkwiło w środku naszego życia: w salach ogólnych izby chorych i w barakach. Nie mogąc się przystosować do normalnych warunków życia, stawali się nieraz bohaterami dziwacznych i zabawnych awantur. Byli jeńcy Oflagu IIc, wspominając przy czarnej kawie dawne czasy, wymieniając niekiedy niektóre z tych awantur wśród innych zabawnych ciekawostek woldenberskich. Ale tu, kiedy się stąpa po zarosłych ścieżkach dawnego obozu, między rzędami milczących baraków, nie można się w tych historiach dopatrzeć niczego zabawnego. Wieje od nich skondensowaną grozą tamtych czasów.

Widzę tych nieszczęśnych, jak krążą niestrudzenie wokół placu apelowego, bladzi, rozgorączkowani, zawsze o czymś szepczący, zawsze w coś wpatrzni, zajęci odbieraniem urojonych defilad lub przyjmowaniem urojonych hołdów — biedne żałosne ofiary drutów kolczastych. Widzę ich jak wtedy — i tak jak wtedy szybkim mimowolnym ruchem odwracam głowę. My, zdrowi, baliśmy się na nich patrzeć.

Bo w Oflagu IIc nie to było najgorsze, że mieliśmy wśród siebie kilkudziesięciu psychicznie chorych. Najgorsze było to, że z małymi wyjątkami, my wszyscy — siedem tysięcy względnie młodych i względnie zdrowych mężczyzn — nosiliśmy w sobie nieustanny lęk przed szaleństwem. Otaczające obóz druty napierały na nas jak las w „Makbecie”. Czuliśmy na mózgu ich stalowy ucisk. To było naprawdę straszne. Jeszcze dzisiaj nie umiem takich chwil wspominać bez przerażenia.

Balszy ciąg nastąpi



Czy znasz to, gdy w zmierzchu skrawionym,
wśród ciszy,

Dotyka włos struny — i długo, boleśnie
Głos w górę wystrzela, ostatnim tchem dyszy,
Mknie coraz to wyżej i wyżej — jak we śnie —
Aż stał się swym echem... Czy słyszysz? Czy
słyszysz?..

To on, Paganini tych lasów brzozowych
Gra w miękkim drzew srebro, w liściastej
pomroce.

Nietoperz, pijuny, wyfrunął na łowy,
A on się wspaniewuje w ten zmierzch piolunowy
I serce mu w piersi pierzastej tomoce.

I omdlał. Zacichło. Lecz ocknął się szybko,
Rozszalał się trelem aż do tchu utraty,
I raptem... Co z tobą, dziwaku skrzydlaty,
Dlaczego głos nagle zarzęził ci chrypką,
Genialny tenorze majowej Traviaty?

S Ł O W I K

Mów, w jakich to czarnych błakałeś się borach,
Oblanych zachodem, jak rzeźnia posoką,
Ze w głos twój tak wżarła się rdzy szorstka kora?
A może oślepił cię nagle z wysoka
Cios wściekły nowika, ostrego topora?

Mój stary słowiku, to wielkie twe solo —
Zapanuj, nieszczęśny — zapanuj nad sobą!
Las cały cię słucha w tę noc księżycową,
Za chwilę zakłęte rozerwie się koło...
Ach, zwiąż je swym śpiewem, nim pęknie na
nowo!

Zakłuskaj, zaszlochaj, rozsłowicz się górą,
Splyń bólem, spłyń chmurą i w szczęściu nas
zatop!

O, baśni majowa, majowa torturo,
Opętaj, zaczaruj nas koloraturą,
I rzuć nam, zmiażdżonym, na bis swe staccato!

Zaspiwał. Czy słyszysz?... Jak płynie głos w ciszy,
Jak wdraża się w granat, w głąb nocy

najśłodszej —
I nic już, prócz niego, noc mdlejąc nie słyszy...
Lecz głos ten... Posłuchaj!... Toć głos ten jest
młodszy,
Jest inny?... Tak, inny — lecz również słowiczy.

O, miły! Tęskniącym za latem minionym,
Czyż nam nowych szatów majowych zazdrości?...
Nam upić się winem tej wrzającej młodości,
Nam upić się wихrem tej młodej wolności,
I śpiewem powitać ten maj i pokłonem!

ANATOL STERN



TABLICZKA CZEKOLADY

KAZIMIERZ STRZAŁKA

PEWNEGO DNIA przedstawiono mi Marikę. Wydało mi się wtedy, że jest to ta sama Marika, o której wspominał Ryszard. Na jej legitymacji tramwajowej wypisane było imię Maria. Lecz „Marika” — brzmi romantycznie. Widocznie dlatego tak ją nazywają znajomi. Marika interesuje się wszystkim. Rozmawia o teatrze francuskim, o „Pamiętce z Celulozy” i o nowych modelach sukien. Mówi też o miłości...

„...Dla mnie pocałunek w usta — to coś bardzo wielkiego. Mężczyźni tego nie rozumieją. Mężczyźni w ogóle są brutalni i prymitywni. Lubię im robić na złość. Kobiety i mężczyźni — to dwa wrogie, zwalczające się światy — wiem to od mojej matki, która była bardzo nieszczęśliwa w małżeństwie. Sens w tym, żeby być zawsze górą i umieć w porę odejść. Miłość? Miłość chyba nie istnieje — ale przyjemnie jest marzyć o wielkiej, prawdziwej miłości. To jakś chroni od wielu spraw, kiedy czeka się na wielkie uczucie...”

Skąd takie poglądy u Mariki? Marika pracuje w biurze, jednym z tysięcy biur w Warszawie. W zeszłym roku ukończyła liceum. Jej matka rozwiodła się niedawno ze swym drugim mężem. Marika bardzo lubiła ojczyma, a nie znosi swego ojca, z którym widuje się od czasu do czasu. Marika jest pełna sprzeczności, pełna niepokoju. Nie znajduje odpowiedzi na tysiące pytań, które ją nurtują. „Dlaczego nie piszecie książek o miłości?” — zapytuje. Potem dodaje po namyśle: „Są sprawy, o których z nikim nie można porozmawiać, nawet z przyjaciółką. O takich sprawach powinno się pisać w książkach...”

Marika nie jest postacią wymyśloną przeze mnie — istnieje naprawdę. Jest młoda i ładna, kiedyś wyjdzie za mąż. Mówi, że „kochać się” tylko jeden raz w życiu — nieszczęśliwie. Uśmiecha się: „Kochać się” w kims, a „kochać kogoś” — to wielka różnica. To drugie nigdy mi się chyba nie zdarzy...”

Sprawa Ryszarda wypłynęła pewnego dnia jako jedna z tych spraw, które przewijają się przez kartoteki Sądu dla Nieletnich. Początkowo znałem niewiele faktów — tyle, ile może zmieścić się w kilku zdaniach:

**Wiek — 16 lat. Stan zdrowia — dobry.
Duża pobudliwość nerwowa. Oskarżony
o rozbicie w nocy ulicznego kiosku,
z którego skradł czekoladę „Danusia”
wartości około 4 zł. Dotychczas nie karany.**

Czy to możliwe? — zapytałem. — Rozbijać w nocy kiosk uliczny dla „zrobienia” jednej małej tabliczki czekolady?

Siedząca za biurkiem sympatyczna pani — sędzia Sądu dla Nieletnich uśmiechnęła się. — To sprawa Ryszarda Z. Właściwie blaha sprawa, ale tylko z pozoru. Nie ma u nas blahych spraw i dwóch spraw podobnych do siebie, ale na dnie większości z nich kryje się jedno podobieństwo: brak opieki rodzicielskiej, rozluźnienie więzi rodzinnej między rodzicami i dziećmi, lekkomyślne zawieranie i zrywanie małżeństwa. Opo- wiem panu o sprawie Ryszarda i Mariki...

Siedziałem w jednej z kawiarni na MDM-ie rozmyślając nad sprawą Ryszarda Z. Był wieczór. Nad stolikami snuł się dym z papierosów, za oknem płonęły neony na Placu Konstytucji. Naprzeciw mnie siedziała młoda dziewczyna w towarzystwie dwóch młodych mężczyzn — właściwie jeszcze chłopców. Jeden z nich wyglądał na typowego „bikiniarza”. Widać było w całym jego zachowaniu niezwykłą pewność siebie. Panował nad całym tym towarzystwem, narzucając mu określony styl bycia. Mówił mało, rzucając słowa od niechcenia. W pewnej chwili gestem starego bywalca przywołał kelnerkę i po chwili na stole pojawiły się kieliszki z likierem. Towarzysz jego siedział przez cały czas sztywno, wyraźnie nadrabiając miną. Widać było, że cierpi z tego powodu, iż młoda dziewczyna nie zwraca na niego żadnej uwagi. Był skromnie ubrany — jakaś wyszarzała wiatrówka, buty mocno przechodzone.

Pomyślałem, że tak właśnie musiał wyglądać i czuć się Ryszard w towarzystwie Mariki. Poznał ją na „potańcówce” urządzonej w liceum przez koło zetempowskie. Ryszard był pierwszorzędnym matematykiem — przez szereg lat zdobywał w liceum same pochwały. Pierwsza życiowa porażka przyszła dopiero na potańcówce. Nie tańczył dobrze. Marika z klasy B nie omieszkała mu tego oznajmić bez ogródek. Usłyszałszy to, nie zaprosił jej po raz drugi do tańca. Marika tańczyła z innymi kolegami.

Pod koniec roku szkolnego Marika zaczęła ubierać się jak dorosła panna. Ryszard nawiązywał z nią często rozmowy, próbował pomagać jej w lekcjach. Ale sam zaczął opuszczać się w nauce. Z początku dostawał jeszcze dobre stopnie jako dowód zaufania — lecz wkrótce wyszło na jaw, że przestał się uczyć. Zjawila się jakaś niewidzialna zapora między Ryszardem a szkołą. Ryszard nie przeszedł do następnej klasy.

Minęły wakacje. Koło świąt Bożego Narodzenia w następnym roku szkolnym widziano Marikę na dancingu w nocy, w towarzystwie Ryszarda. Na zebraniu koła ZMP Marika otrzymała nagane, na którą odpowiedziała arogancko — coś o „wtarcaniu się w cudze sprawy osobiste” itp. Ryszard stanął w jej obronie, nie potrafił niczego uzasadnić i w rezultacie ośmieszył się. Od- tąd stał się przedmiotem kpin ze strony kolegów. — No, jak tam twoja Marika? Co słychać z twoją Mari- ką? — pytali go nachalnie. Przy którymś z kolei zapy- taniu wywiązała się bójka. Zajście miało miejsce w klasie tuż przed nadejściem profesora. Ryszardowi ob- nizono stopień z zachowania. Nie pokazał się przez kilka dni w szkole. Gdzie chadzał — nie wiadomo. Po- zostaly nie usprawiedliwione godziny. W rozmowach z wychowawcą klasy milczał uparcie. Koledzy z ZMP nie mieli na niego żadnego wpływu. Na zebrania ze- tempowskie przestał przychodzić — i wkrótce skreślo- no go z listy członków. Skreślenie nastąpiło na wnio- sek kolegi, który wszczął bójkę z Ryszardem. Do koła zetempowskiego wkradła się prywatna. Zdarza się to w niejednym środowisku.

Przyszła wiosna. Ryszard chodził do szkoły, uczył się słabo, a popołudnia i wieczory spędzał z Mariką. Spotykali się nad Wisłą w pobliżu ZOO. Pewnego dnia około północy w jednym z warszawskich nocnych lo- kali powstała bójka wywołana przez chuliganów. Wezwano Milicję Obywatelską. Przy okazji wylegity- mowano dwoje uczniów liceum, przesyłając ich legi- tymacje do dyrekcji szkoły. Były to legitymacje Ry- szarda i Mariki. Ktoś zażądał usunięcia ich ze szkoły. Koło rodzicielskie sprzeciwiło się jednak zbyt pochop- nej decyzji. Postanowiono wezwać rodziców. Rodzice nie przyszli — matka Mariki wyjechała na którąś z kolei rozprawę rozwodową, a ojciec Ryszarda nadesłał wyjaśnienie, że brak czasu nie pozwala mu uczestni- czyć w zebraniu rodzicielskim. Grono nauczycielskie udzieliło Ryszardowi i Marice powtórnej nagany. W parę dni później w szkole zjawił się przedstawiciel MO. Wtedy wyszła na jaw sprawa z czekoladą.

Do domu Ryszarda poszedłem razem z kuratorem są- dowym, który już od roku sprawuje opiekę nad Ry- szardem.

— Jak to było z tą czekoladą? — zapytałem Ry- szarda.

Omiotł mnie niechętnym spojrzeniem i odpowiedział dopiero po chwili: — To było pod domem Mariki. Od- prowadzałem ją w nocy, wracaliśmy z dancingu. By- łem pijany. Marika powiedziała mi niespodziewanie, że ma ochotę na coś słodkiego, i, jeżeli dam jej w tej chwili czekoladę, to mnie pocałuje. Podeszedłem do kio- sku ulicznego ze słodyczami. Był zamknięty na kłódkę. Podważyłem ją znalezionym w pobliżu żelaznym prę- tem, zdjąłem drewnianą żaluzję, wybiłem szybę i wzią- łem stamtąd czekoladę „Danusia”. Marika nie pozwo- liła się jednak pocałować. Śmiała się ze mnie. Może pan nie wierzyć, ale... nie całowaliśmy się nigdy, ani razu przez cały czas znajomości. Marika uważała, że można całować się tylko z tym, kogo się bardzo ko-

cha. A ja... a mnie... traktowała przez cały czas niepo- ważnie. Robiła mi na złość. Mówiła zawsze, że „wszy- scy mężczyźni są jednakowi” — i tym podobne bzdury. Kiedy sprawa z czekoladą oparła się o sąd, Mari- ka przestała się ze mną w ogóle widywać. mówiąc, że matka jej zabroniła. Nie widziałem jej od tego czasu. Nie wiem, co się z nią dzieje. Miłość? Lepiej o tym nie mówić... Mam zamiar w przyszłym roku zapisać się na uniwersytet, na wydział matematyczny. Unikam kobiet, bo przynoszą tylko nieszczęście... Sprawy sek- sualne — to jakaś potworna gmatwanina. splot zaga- dek, wieczny niepokój. Dawniej myślałem, że życie jest proste jak matematyka...

Staralem się przedstawić w wielkim skrócie pewien wycinek rzeczywistości, który z powodzeniem mógłby być tematem do książki. Od czasu rozmowy z Mariką myślę, że chyba podejmę próbę napisania tej historii. To, co napisałem powyżej, można nazwać reportażem, ponieważ oparłem się na autentycznych faktach. Może powie ktoś: „Miłość 16-letniego „smarkacza” do 17-let- niej „smarkuli” — to niepoważne...”

Jeśli ktoś tak powie, to zapytajcie go: — A jak to było z waszą pierwszą miłością, szanowny obywatelu?

Są uczucia, które kształtują losy ludzi. Pod tym względem chyba niewiele się zmieniło od stuleci. Mi- łość — to jedna z tych spraw, które budują lub niszczą. Młodymi ludźmi trzeba umiejętnie pokierować, kiedy znajdują się na zakręcie życia. Książki nie zastąpią ro- dziców — a zresztą, czy są książki mówiące o tych sprawach śmiało i prawdziwie? Marika twierdzi, że ich nie ma. Czy Marika ma rację? Chyba tak.

Zniknęły na szczęście z półek księgarskich sensacyj- ne „romanse” — wytwór zakłamej moralności bur- żuazyjnej i niezdrowej fantazji literackich groszoro- bów. To dobrze. Nikt ich dziś nie potrzebuje. Autorzy w rodzaju Antoniego Marczynskiego, „rozwiązującego” problemy seksualne książkami w rodzaju „Gdy bestia się budzi”, wspomniani są z rozrzewnieniem tylko przez erotomanów (dziś już zresztą mocno postarza- łych). Ale problem pozostał. Problem stary jak świat — problem miłości, moralności. Innej moralności — socjalistycznej. Literaci, filmowcy, dramaturdzy albo nie dostrzegają tego problemu, albo traktują go nrangi- nesowo. A to problem sam w sobie, starczy go na wy- pełnienie niejednej książki, sztuki teatralnej czy filmu długometrażowego. Organizacje młodzieżowe, koła ze- tempowskie, prasa młodzieżowa — nie dyskutują nad tymi sprawami. Albo „załatwiają” je „po linii admini- stracyjnej”, jak ów znany i wysłniany, na szczęście, pewien przewodniczący koła ZMP, który postanowił wyrzucić z organizacji pewnego chłopca... za pocałowa- nie dziewczyny. Mała książeczka Konwickiego pt. „Go- dzina smutku” — to dobra w intencji, lecz nieprawdzi- wa w swym zakończeniu próba postawienia problemu. Takich zebrani partyjnych jak u Konwickiego nie ma nigdzie w Polsce — i tak gładko i bezkonfliktowo nie przebiegają w życiu sprawy podobne do tych, które porusza Konwicki. Ale jeden Konwicki „nie robi wios- ny”. A młodzież czeka. A za młodzieżą stoją rodzice z ich często przedziwną „moralnością”, z ich obciążenia- mi klasowymi w mentalności. Tak, tak — miłość to też sprawa klasowej przynależności — czy się chce, czy nie chce tego dostrzegać.

Zagłdnijmy na jeden dzień do Sądu dla Nieletnich. Spotkamy tam Ryszardów i Mariki. Spotkamy również wiele innych ciekawych spraw, dotyczących miłości — lecz miłości rodzicielskiej fałszywie pojętej.

Np. kartoteka nr 151: Czternastoletni chłopiec przy- chwycony na systematycznych kradzieżach sklepowych. Chłopiec jest fizycznie i psychicznie zdrowy, porządnie, i czysto ubrany, rodzice obydwoje pracują i zarabiają w sumie na przyzwoite, nawet dostatnie życie. Po spi- saniu protokołu i rozmowie z rodzicami wychodzi na jaw pewien szczegół: chłopiec przywykł brać codzien- nie bez wiedzy rodziców pewne drobne sumy z matczy- nej portmonetki. Nikt z domowników nie nazwał tego nigdy „kradzieżą”, skądże znowu? Mówi się co najwy- żej: „Zdzisio — to mały spryciarz, lubi pieniążki, nie zginię w życiu...”

Inna sprawa: Dziesięcioletni chłopiec ma na swoim podwórku opinię niebezpiecznego chuligana. Wybija szyby, bije swoich kolegów, dręczy koty i psy. Pewne- go dnia wybił oko młodej dziewczynce, strzelając z procy kawałkami posiekanego drutu. Matka tego chłop- ca, na widok milicjanta, który przyszedł spisywać pro- tokół, powiedziała:

— Taki wstyd, Milicja u nas... Co powiedzą sąsiedzi? A więc nie chodziło jej wcale o to, że chłopiec popada w coraz większe chuliganstwo, lecz o to, że „ludzie się dowiedzą...” Sąsiedzi mówią o niej, że jest „dobrą” matką, nigdy chłopca nie bije, dba o niego i pracuje z poświęceniem, aby zapewnić mu wszystko, co mu jest potrzebne. Ojciec odszedł przed rokiem do innej kobiety... To też sprawa jedna z wielu.

Sąd dla Nieletnich obejmuje sprawy młodzieży. Tam nie „sądzi” się, lecz rozpatruje sprawy ludzkie, sprawy codzienne. Powierza się młodym ludzi opiece ku- ratora sądowego. W jaskrawych wypadkach chuliga- nstwa kieruje się młodych ludzi do Domu Poprawczego, skąd wychodzą potem jako pełnowartościowi obywatel- le. Wszystko w porządku. Ale... Do Sądu dla Nielet- nich przychodzą też rodzice — ojcowie i matki oskar- żonych. Czy zdają sobie sprawę, że są to właściwie ich rozprawy?

W czterech ścianach pokoju, w którym spoczywają w szafach kartoteki ze sprawami nieletnich, sprawy ludzkie nabierają mocnych, jaskrawych rumieńców życia.



Wiele miał kłopotu włoski artysta Jan Maria Padovano, aby z resztek gotyckich murów stworzyć piękną renesansową budowlę. Koronkowa attyka zasłoniła ostry dach, wnęki i pilastry zamaskowały dawną nieregularność.

PATRZĄC NA KRAKÓW...



Krakowskie przekupki znane są od wieków z dobrego serca, ale i obrotnego języka. Bały się ich żaki, nawet Stańczyk wołał być z nimi w dobrej komitywie.

Mroczna, zakończona ostrym łukiem brama zaprasza do wnętrza. Wysokie schody prowadzą na szczyt Mariackiej wieży.

Budowę tej strzelistej wieżycy okupił murarz życiem. Zły, zawistny brat — głosi legenda — nie umiejąc nadać swej wieży takiej sylwetki i wysmukłości, posunął się aż do bratobójstwa.

...Z wysokiej attyki od setek lat spogląda na krakowski rynek tragiczna maska sukiennickiego maszkarona. Nic go nie dziwi, widział już wspaniałe, radosne obchody i dramatyczne walki. Z kamiennym spokojem obserwował bezprawie szlachty, konszachty bogatego mieszczaństwa, bunt ludu. Był świadkiem szalonych igraszek imię pana Twardowskiego, a może wraz z Ildefonsem Gałczyńskim brał udział w spacerze zaczarowaną dorożką? Nieruchomy, z nadanym mu przez włoskiego artystę drwiącym grymasem, trwa w murze Sukiennic.

Obok wysmukłej sylwetki Mariackiego kościoła wokół Sukiennic ruch i gwar, ale w wirze codziennego dnia mieszkańcy Krakowa zawsze znajdują chwilę, by odpocząć w cieniu starych murów, podziwiać urok swego miasta legend i baśni.

Zdjęcia I. MAŁEK-JAROSIŃSKA



Wszystko wygląda zwykle i normalnie, ale któż udowodni, że to nie jest zaczarowana dorożka, że nie było skrzydlatego konia, dziewczyny i marynarza.



Piękne są Sukiennice; dobrze by było jeszcze raz obejrzeć urocze ozdoby na kolumnach, ale konkurencja nowoczesnego motocykla jest zbyt silna.



Bezrobotny tokarz z Dortmundu na tle plakatu reklamowego jednego z punktów werbunkowych Legii.



W Afryce północnej, w Sidi-bel-Abbes znajdują się koszary Legii Cudzoziemskiej. Tam odpowiednio „przeszkała się” zwerbowanych w Europie naiwnych. Nauczycielami są przeważnie SS-mani, znający „fach”.

MARIAN PODKOWIŃSKI

Korespondencja

własna „Świata” z Berlina

NA TARGOWISKU „MIĘSA ARMATNIEGO”



Fotograf zachodnio-niemieckiego „Revue”, który uwiecznił zmianę warty w Sidi-bel-Abbes, przeżył niemalże zdziwienie. „Komendy wydawano wprawdzie po francusku — pisze „Revue” — znać było jednak pruski dryl”.

GEORGA poznałem zupełnie przypadkowo. Kiedy byłem w stalowni w Hennigsdorf pod Berlinem, podczas gawędy w Klubie Robotniczym, rzuciła mi się w oczy jego silnie ogorzała twarz i niepokojne ręce. Jeden z naszych rozmówców podchwycił moje pytające spojrzenie, wyjaśniając: To jest nasz nowy nabytek w walcowni... Nazywa się Georg, a wszyscy mówią doń z francuska „Zorż”. Dlaczego? — zapytałem. — Był on przez 5 lat w Legii Cudzoziemskiej — padła odpowiedź. Był jednym z tych legionistów, którzy walczyli pod Dien Bien Fu. Na prośbę prezydenta Piecka władze wietnamskie uwolniły 80 jeńców niemieckich z francuskiego korpusu ekspedycyjnego. Georg był jednym z tych szczęśliwców, którzy otrzymali azyl w NRD...

Po chwili Georg siedzi już wśród nas.

To, co nam opowiedział — jest wielkim oskarżeniem ustroju upatrującego w młodych ludziach jedynie mięso armatnie, które zwłaszcza na bońskim targowisku nie jest w specjalnej cenie. 50 tys. albo i więcej młodych Niemców padło w walkach Legii Cudzoziemskiej. Prawie 250 tys. zwerbowano po wojnie w Niemczech zachodnich do mordowania narodów walczących o wolność.

— Do Legionu zaciągają się młodzi ludzie — powiada Georg — z różnych powodów. Ale przeważnie z nędzy. Wśród naszej grupy, która przed pięciu laty wstąpiła do Legionu, przeważali chłopcy 18-letni, pochodzący z robotniczych rodzin, obarczonych licznymi dziećmi. Nikt z nas nie miał określonego zawodu, byliśmy wszyscy bez pracy, no i oczywiście bez grosza przy duszy. A nie wszyscy chcieli kraść albo nosić oficerom amerykańskim paczki na dworcu za kilka papierosów. Z tej sytuacji korzystają agenci francuskich biur werbunkowych, które mieszczą się w Offenbach oraz w Kehl nad Renem. Czasem tych agentów znajdziesz i we własnej rodzinie. Zaciagną cię raz i drugi do baru — powiada Georg — obiecują raj na ziemi. Ani się człowiek obejrzy i już podpisał jakiś świstek w obcym języku, który dla większości staje się później wyrokiem śmierci. Jeśli się nie stawisz, przychodzi do domu francuska żandarmeria, a z nią nie ma żartów...

— Oczywiście — ciągnie dalej Georg — że nikt z nas nie miał zielonego pojęcia, co właściwie podpisał. Ale nawet ci, którzy świadomie wstąpili do Legii nie

wyobrażali sobie, co ich właściwie jeszcze czeka... Dopiero w Wietnamie niektórzy z nas pojęli całą grozę sytuacji. Ale było oczywiście za późno. Stanęliśmy oko w oko z okrucieństwami „brudnej wojny”. Nie wszyscy wyszli cało z tej próby życia. Ci, którzy zachowali jeszcze umiejętność myślenia, przekonali się rychło na własnej skórze, co to znaczy być mięsem armatnim w obcej służbie. Ale tysiące legionistów w ogóle już nie myślały. Mieli za sobą ciężki dryl Legii Cudzoziemskiej. Stali się też posłusznym narzędziem w rękach kolonialnych oprawców...

Zanim jednak wysłano ich na front, legionieści przechodzili specjalną szkołę mordowania. Oto co opowiada dalej Georg:

— Uczono nas nie żołnierskiego rzemiosła, ale sztuki praktycznego mordowania, okrucieństw wobec przeciwnika, zabijania bez litości. Godzinami pędzono nas po pustynnych piaskach Afryki północnej, trzymając bez wody na skwarze, jaki doprowadza człowieka do szaleństwa. Każde uchybienie było surowo karane. Ci, którzy próbowali uciekać, ginęli albo od kul żandarma, albo z pragnienia na pustyni. Nasi dowódcy nie znali litości nie tylko wobec przeciwnika, ale i wobec nas... W Legii — w dosłownym znaczeniu — człowiek człowiekowi był hieną.

— Czy instruktorami w Legii byli tylko Francuzi? — pytam Georga.

— Nie. Po większej części byli nimi dawni oficerowie lub podoficerowie z Waffen-SS lub innych jednostek tego rodzaju, wszyscy owi ludobójcy, którzy niezbyt pewnie czuli się po wojnie w Niemczech. Zbyt wiele mieli na sumieniu. Jako instruktorzy okazali się wkrótce nieodpowiedni. Mieli bowiem hitlerowską szkołę i dowodzili nami w ekspedycyjnych wyprawach przeciwko kolonialnej ludności. A na rzemiosło tym znali się doskonale... Oczywiście, że uczyliśmy się nie tylko sztuki zabijania, ponieważ nasi instruktorzy pragnęli widzieć w nas również nowoczesnych krzyżowców. O jaką sprawę? Nie trudno się domyślić. Jeśli chodzi o wykłady polityczne, prowadzili je dawni wychowankowie Himmlera. „A więc agitowano nas, abyśmy okazali się godni wielkiej sprawy, jaką jest walka przeciwko Wschodowi. Ludność kolonialna określała nas z natury rzeczy jako awanturników i bandytów. Obrona Zachodu przed bolszewizmem, tzw. wyzwolenie narodów, idea europejska w hitlerowskiej interpretacji — oto niektóre tylko z tematów naszych politycznych pogawędek przy japońskiej wódce, paralizującej wszystkie zwoje nerwowe.

Georg opowiada następnie o swoich przeżyciach w Wietnamie. Opowiada o tym, co wyprawiały najemne wojska, kiedy cofały się pod ciosami wyzwoleniczej armii wietnamskiej. Hitlerowska taktyka „spalonej ziemi” stosowana była przez dowódców ekspedycyjnego korpusu. Zaczęły się też pierwsze tarcia w samym Legionie. Wielu Francuzów i Niemców coraz lepiej rozumiało całą tragedię „brudnej wojny”. Zaczęły się pierwsze ucieczki. A kiedy od jeńców dochodziły wieści o dobrym traktowaniu, ucieczki te przybierały masowy charakter. Dowództwo zastosowało straszliwe represje. Kiedy ktoś z Legii nie stawił się do wieczornego apelu, za jego ucieczkę odpowiadała cała drużyna, później zaś cały batalion. Czyniono zeń karny oddział, który wysuwano na stracone pozycje. Nic dziwnego, że wkrótce wszyscy pilnowali wszystkich,

wszyscy szpiegowali wszystkich. Najmniejsza krytyka spotykała się z surowymi karami, które zazwyczaj kończyły się śmiercią na pierwszej linii.

— Staliśmy się wkrótce nie żołnierzami, ale gladiatorami, którzy mordują się wzajemnie ku ucieśze swoich panów... — powiada Georg — i nic też dziwnego, grzeźliśmy coraz głębiej w moralnym bagnie. Ci, którzy przecież potrafili jakimś niehumanitarnym wysiłkiem woli oprzeć się ogólnej degeneracji, jedyny ratunek przed zagładą upatrywali w szybkim końcu brudnej wojny. Po upadku twierdzy Dien Bien Fu, gdzie wśród 20 tys. ofiar poważny procent stanowili Niemcy, każdy czekał tylko na możliwość dostania się do niewoli... Jakże zazdrościliśmy tym szczęśliwcom, którzy piekło wojny w dżunglach mieli już za sobą! A kiedy nadszedł wreszcie ów piękny dzień i mogliśmy spokojnie ułożyć się do snu pod strażą wojsk wietnamskich, śniłaliśmy tylko o powrocie do ojczyzny.

Georg opowiada nam, że cieszył się jak dziecko, kiedy otrzymał po raz pierwszy gazety z Niemiec. Były to pisma z NRD. Stąd też dowiedział się całej prawdy o wojnie wietnamskiej, o konferencji genewskiej i komu właściwie zawdzięcza, iż cały wyszedł z tego piekła.

— Byliśmy wprost zażenowani dobrocią ludności wietnamskiej i uprzejmością żołnierzy Ho Szi Mina, którzy przecież dobrze wiedzieli kim jesteśmy i po co tu przyszliśmy. Nas, którzyśmy nielitościwie mordowali i grabili, traktowano po ludzku. Dopiero w niewoli zrozumieliśmy ową tajemnicę niezwykłości narodu walczącego o swoją wolność, narodu, który mieliśmy ujarzmić amerykańską bronią. My, którzyśmy byli jeszcze za młodzi, aby brać udział w wyprawach Hitlera, pojęliśmy w niewoli wietnamskiej, co czuli żołnierze Wehrmachtu po stalingradzkiej klęsce... I nas, którzyśmy jako nieproszeni goście przybyli do kraju, aby mordować gospodarzy, traktowano w niewoli z pobłażliwością, na którą stać wobec pokonanego wroga tylko prawdziwie bohaterские narody. Bohaterami — dodaje Georg — nigdy nie byliśmy, nawet jeśli stawialiśmy życie na jedną kartę, nawet jeżeli otrzymaliśmy francuskie medale za dzielność w obliczu wroga...

Kiedy w demokratycznych gazetach Georg i jego przyjaciele wyczytali o tym, co mówi Adenauer i jego generałowie o „wyzwoleniu” NRD, przypominały się im nie tylko wykłady oficerów SS w afrykańskich koszarach Legii Cudzoziemskiej, ale i wietnamska praktyka. Czuli, że muszą działać. Że muszą opowiedzieć swoim rodakom, na czym polega owo „wyzwolenie” i gdzie się ono dla „wyzwolicielei” kończy. Grupa Georga złożyła więc do władz wietnamskich petycję z prośbą o możliwość powrotu do NRD.

Niełatwa jest droga legionisty, kiedy wraca do normalnego życia. Ale dla Georga i jego towarzyszy była ona może o tyle łatwiejsza, iż w podzielonych Niemczech wiedzieli, jaką linię frontu mają wybrać.

Nie potrzebowali żadnej busoli ani przewodnika, jak w dżunglach Wietnamu. Po latach spędzonych w Legii Cudzoziemskiej, po brudnej wojnie w Wietnamie, po lekcji, jaką otrzymali pod Dien Bien Fu — wybór był dla nich jasny.

I dlatego mogłem tak swobodnie rozmawiać z Georgem w Klubie Robotniczym stalowni w Hennigsdorf.

ADOLF RUDNICKI

Niebieskie kartki

CZŁOWIEK SIĘ ZMIENIA

COŚ, co wciąż na nowo zdumiewa pisarza, że ludzie bywają wzruszeni stworzoną przez siebie fikcją. To go właściwie nigdy nie przestaje zdumiewać, dziwno mu w tej skórze Boga-ojca. Przez długi czas podejrzewa, że ludzie udają, chcąc mu zrobić przyjemność, w końcu daje się przekonać — jego przecież także wzruszają cudze książki, a w kinie, kiedy go nikt nie widzi, płacze jak kucharka. Na poszczególne sceny, zwłaszcza te, które mają odpowiednik w jego bieżącym życiu, bywa nawet bardziej uczulony niż jakikolwiek czytelnik, ale jako całość książka nie przemawia do tego, kto ją stworzył.

Jednakże po latach zaczyna także chwytać smak całości. Natomiast w wielu miejscach wywołuje ona jego zdumienie: nie poznaje człowieka, który ją napisał. Nic dziwnego, ten człowiek już nie żyje. Co kilka lat człowiek umiera i odradza się na nowo. Ale gdy tak twórca otrząsa się z popiołów, stwierdza niezwykłą rzecz: umarł, ale urodził się bardzo podobny do dawnego siebie.

Człowiek zmienia się i pozostaje ten sam, nikt nie widzi tego tak dokładnie jak twórca na własnym dziele.

PRAWDA TEGO DNIA

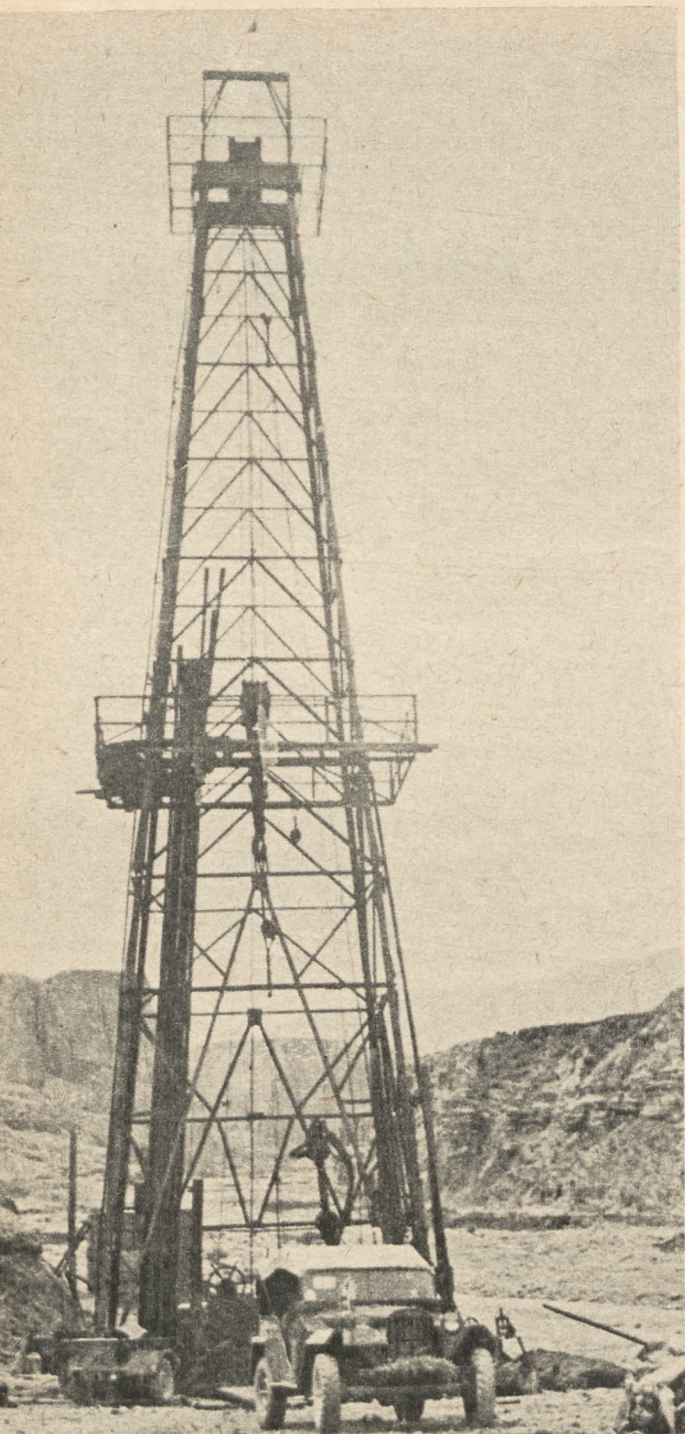
O A. wszyscy mówią z podziwem, że to renesansowy człowiek, prawdziwa fabryka powieści, nowel, dramatów, rozpraw krytycznych, scenariuszy filmowych, wierszy, librett, a na B. wszyscy psy wieszają. Narzekają, że B. nie może uwolnić się od swej jedynej wizji, że bez przerwy i w kółko pisze o tym samym, że swymi kompleksami zadrażcza czytelników.

Ale wystarczy jedna noc, by wszyscy, zarówno mędrcy jak i głupcy, wtajemniczeni i prostaczkowie, czytelnicy artystycznych pism na równi z czytelnikami Expressu, najwybredniejsi na równi z najmniej wybrednymi poczuli na swych nosach te same okulary i poprzez te okulary, wydane wszystkim o jednej godzinie, zobaczyli naraz coś wręcz przeciwnego, zobaczyli olbrzymią fabrykę A. ulatującą w powietrze, wszystkie elementy ogromnego dorobku A., które zapewniły mu życie pełne sławy, powracające do swych prawowitych właścicieli, którym zostały skradzione, cały dorobek A. rozpylujący się w nicość i bezimienności. Natomiast „jedna jedyna wizja B.” — w oczach wszystkich — naraz nabiera blasku, siły i głębi. Noc, o której mowa, to noc śmierci obu A. i B. — noc właściwych narodzin artystów.

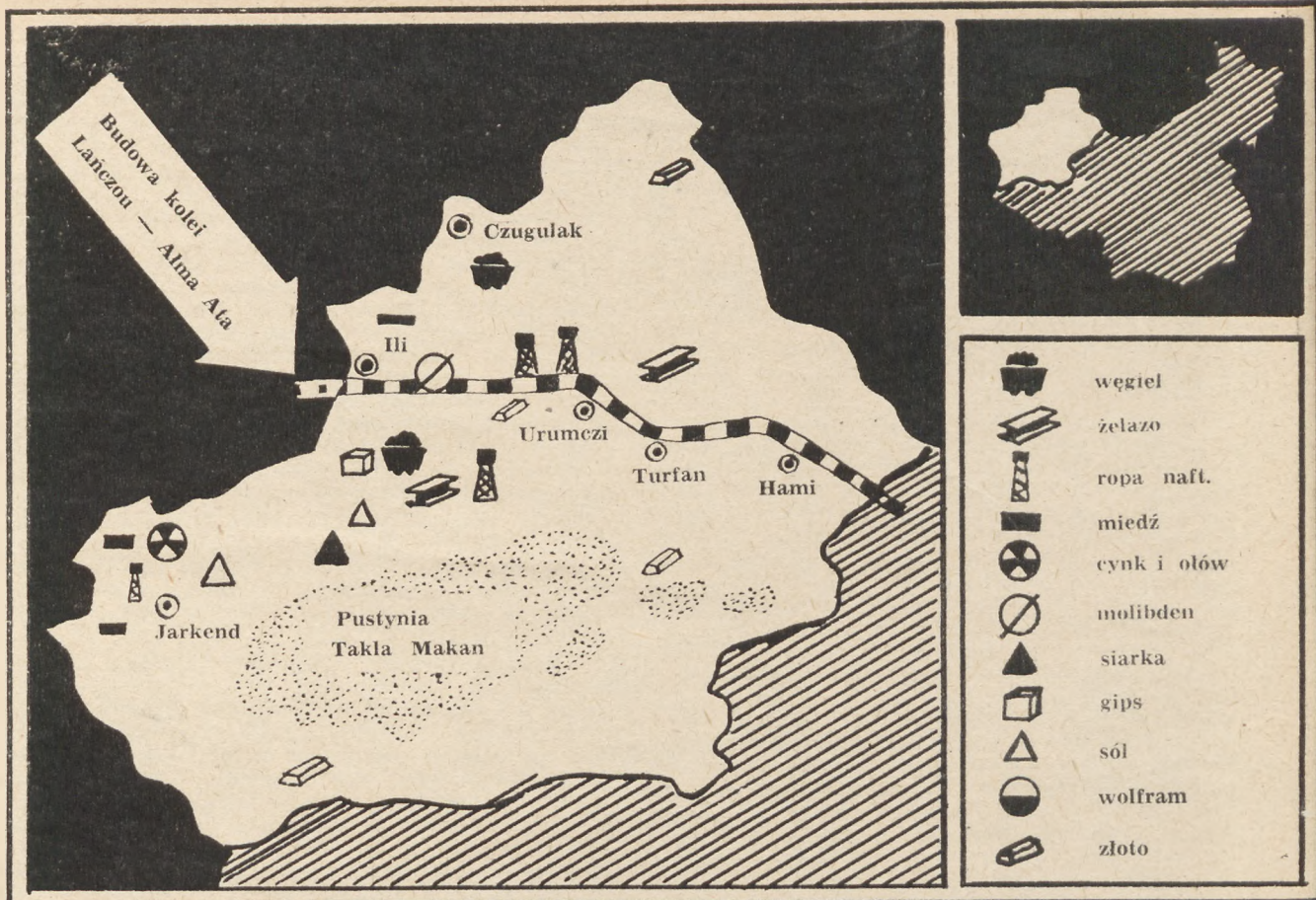
Dlaczego tak jest, iż mimo wieków doświadczeń zdarzają się wciąż tak zasadnicze pomyłki i w gruncie rzeczy nie da się wycenić dzieła? Tak, ale dlaczego, pisarzu, nawet ty, żebyś na głowie stanął, nie potrafisz wytłumaczyć rzeczy tak prostej, jak ta: co to jest styl? no tak, co to takiego jest styl?, nie mówiąc o tak skomplikowanym, zasadniczym twierdzeniu, iż człowiek to styl? Skoro nie wiadomo właściwie, czym jest styl, to jak wytłumaczyć zdanie — czujemy to — wciąż tajemnicze, wciąż niezbadane: człowiek to styl? Dlaczego to wszyscy, naprawdę wszyscy muszą dopiero czekać na wielki dzień wtajemniczenia, by orzec o czyjejs prawdziwej wartości, do tego zaś czasu wszelkie sądy obracają się jedynie w granicach pełnego tupetu prawdopodobieństwa? Co takiego zawiera ten dzień? Co takiego zjawia się nagle, nie wiadomo skąd i jak pewnego dnia — nigdy przedtem — że wszyscy widzą, czują i wdychają prawdę? Jedno jest pewne, prawda tego dnia jest światlejsza, mądrzejsza, niezawodniejsza niż prawdy, nad którymi w ciągu lat pracowaliśmy w mazole i udreć.



Szkolenie we wszelkiego rodzaju brutalnych metodach walki zakończone. Pewnego ranka o świcie do północno-afrykańskiego brzegu przybija statek. Oddziały legionistów zostają załadowane. Kierunek — Wietnam.



SINKIANG: WIEŻE WIERTNICZE NA PUSTYNI.



„SWIAT” — rys. S. Kopf

W PUSTYNNYM SERCU AZJI

Zdjęcia: HSINHUA

Na południowym zachodzie Sinkiangu, u stóp Pamiru. Strzyżenie owiec na pastwisku. Wełnę można korzystnie sprzedać lub wymienić w punkcie skupu na zboże, odzież, sprzęty domowe. Skończyły się czasy wyzysku pasterzy.



TAJEMNICZE góry Kuen-lun, straszliwa pustynia Takla Makan, zagadkowe jezioro Lob-nor, bezwodne stepy i dzikie, koczownicze plemiona — oto obraz kraju, jaki przedstawili nam podróżnicy z przełomu XIX i XX wieku. Sinkiang — pustynne serce Azji — od dawna przyciągał geografów z wielu państw. Mimo to do niedawnych lat na mapach Sinkiangu wiele jeszcze było białych plam. Niełatwo było zbadać niebotyczne łańcuchy górskie, wznoszące się na 7.700 metrów, pustynne zapadliska, sięgające poniżej poziomu morza, sezonowe rzeki zmieniające co roku swe koryta i błyszczące z oddali jeziora, które z bliska okazywały się tylko rozległą skorupą soli na piaskach.

Dziś Sinkiang, będący największą terytorialnie prowincją Chin Ludowych, jest już w ogólnych zarysach poznany. Obszar jego wynosi 1.550.000 kilometrów kwadratowych, więcej niż łączna powierzchnia Anglii, Francji, Włoch i Szwecji. Ludność Sinkiangu wynosi

Kino przyjechało! Młodego mechanika w mig otaczają ci odległej wioski będą oglądać film — być może po





NA BUDOWĘ LINII KOLEJOWEJ ŁANCZOU — URUMCZI — ALMA-ATA PRZYBYWAJĄ NIEPRZERWANIE POCIĄGI Z ROBOTNIKAMI, SPRZĘTEM, BUDULCEM.

około 5 milionów, z czego około pół miliona stanowią Chińczycy, resztę zaś — rozliczne mniejszości narodowe: Kazachowie, Ujgurzy, Mongołowie, Tybetańczycy, Uzbeki, narody Huei, Chałchas, Taranczi, Lasju, Per-
mane i inne.

Podstawa ekonomiki Sinkiangu jest do dziś pastw-
two, jedynie w niewielu okolicach udaje się uprawa
pszenicy i bawełny. W przeszłości ludy pasterskie były
bezprzykładnie wyzyskiwane przez kupców, pozostają-
cych pod opieką kuomintangowskich generałów. Wyzy-
kiwacze korzystali z zupełnego niemal odcięcia Sinkian-
gu od reszty Chin i dyktowali na rynkach ceny: za sto-
kilo wełny owczej — tabliczka prasowanej herbaty; za
tłare żrebiąt — worek zboża; za wielbłąda — sztuka-
lnego płótna.

Przed pięciu laty władza ludowa ustanowiła nowe,
korzystne dla hodowców ceny skupu. Banki państwowe
wprowadziły system kredytów na zakup bydła, owiec
wielbłądów, zaś fachowcy, delegowani przez instytu-

cje rolnicze, rozpoczęli planową walkę z epidemiami
zwierząt domowych. W ciągu paru lat pogłowię bydła
wzrosło w wielu okolicach niemal w dwójnasób. Głów-
ne miasto prowincji — Urumczi — wzbogaciło się o ce-
mentownię, młyny, port lotniczy, wielką elektrownię.
Rozpoczęto budowę miasteczka lekarskiego, w którym
obok instytutu medycznego, wielkiego szpitala i klinik
znajdzie się szkoła pielęgnarska, ambulatoria, domy
społeczne.

Prowadzone od czterech lat systematyczne badania
geologiczne otworzyły przed Sinkiangiem zupełnie nowe
perspektywy rozwoju. Zbadana została dotąd niewielka
część terytorium prowincji, a już odkryto liczne złoża
węgla i rudy żelaznej, złota i miedzi, cynku i wolfra-
mu, soli i ropy naftowej. Rzeczoznawcy są zdania, że
zasoby ropy w Sinkiangu są większe niż znane na świe-
cie bogactwa naftowe Iranu.

Główną przeszkodą w eksploatacji zasobów natural-
nych Sinkiangu są trudności komunikacyjne. W całych

zachodnich Chinach sieć dróg żelaznych jest słabo roz-
winięta, a w Sinkiangu nie ma ani jednej linii kolejjo-
wej. Urządzenia wiertnicze i sprzęt górniczy przywozi
się z wielkim trudem samochodami, a częściowo nawet
drogą powietrzną. Jeszcze kłopotliwszy jest wywóz wy-
dobywanych bogactw.

Ta trudność zostanie w dużym stopniu przezwycię-
żona już w ciągu najbliższych lat. 12 października br. opu-
blikowany został wspólny komunikat radziecko-chiński
o budowie magistrali kolejowej Łańczou — Urumczi —
Alma-Ata. Linia ta będzie miała około 3 tysięcy kilome-
trów długości i połączy najkrótszą drogą lądową Euro-
pę z Chinami.

Nowa kolej będzie miała szczególne znaczenie dla
Sinkiangu. Przetnie ona tę prowincję na przestrzeni z
górną tysiąca kilometrów i połączy najważniejsze jej
ośrodki zarówno z resztą Chin, jak i ze Związkiem Ra-
dzieckim, skąd nieprzerwanie przybywa do Sinkiangu
wyposażenie techniczne. (EK)

derze. Wieczorem mieszkań-
cy pierwszy w swym życiu.

Te kobiety narodowości chałchaskiej przygotowują z ko-
bylego mleka orzeźwiający napój — kumys.



Do pracy w powstających w Chinach póln.-zachodnich przedsiębiorstwach wiertniczych
zgłaszają się chętnie zdemobilizowani żołnierze Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.



Historia

JEDNEJ TONY WĘGLA

SWIATŁO takie słabe, że pracować przy nim nie można. Dzieci chodzą osowiałe z kąta w kąt; ani coś poczytać, ani odrabiać lekcje... Słowem, najlepsza pora do opowiadania bajek. Posłuchajcie więc.

Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami była sobie wielka kopalnia. Pewnego dnia ludzie wyłupali tam z ogromnej łśniącej ściany tonę węgla. Wyglądała ona jak wszystkie inne. A jednak tak pełne przygód miała losy, że była to zapewne tona zaczarowana.

Naszą tonę porwały długie transportery i wywiozły ją na jakiś nowy, oślepiający jasnością i blaskiem świat. Nie zdążyła się jeszcze opamiętać, a już z impetem rzucono ją na dno do wagonu kolejowego. Po chwili przyduśiła nasze węgle góra innych braci i siostr. Pod ich ciężarem przywarły do dna, a co słabsze trochę się nawet pokruszyły.

Wagon raptownie szarpnęło, rozległ się ogłuszający gwizd i pociąg ruszył. — Ciemno i straszno! Co będzie dalej? — pytały jedna przez drugą zaniepokojone bryły. Wkrótce dostrzegły jakieś jasne smugi. Były to szpary w dnie wagonu. Zapanowała ogólna radość: Nareszcie będzie można coś zobaczyć! I dalejże! Wszystkie naraz zaczęły się pchać w stronę „okienek”. Dużym bryłom niełatwo się było ruszyć, toteż pierwsze docisnęły się drobne ziarna i miał. W tłumie — jak to w tłumie — o wypadek nie trudno; co chwila więc słyhać było okrzyki przerażenia i jakaś drobina wpadała w rozwartą przepaść. Kiedy wreszcie gwizd lokomotywy obwieścił koniec podróży — z naszej tony do celu dojechało już tylko 995 kg.

Wkrótce czarnych pasażerów wagonu przywieziono na olbrzymi plac. Posypały się nasze bryły w miękki piasek. Wiele z nich zaryło się w ziemię głęboko, aż po sam czubek. Inne zostały wgniecione kołami samochodów i ludzkimi obcasami. Oburzone tym traktowaniem węgle próbowały protestować, ale usłyszały od skaczących opodal wróbli, że gdzie indziej, np. w Rejonie Dróg Wodnych w Warszawie,

jest zupełnie tak samo... Nie było zresztą czasu na długie biadolenia, bo po chwili wyrosła nad naszą toną wysoka góra węgla.

Przez kilka miesięcy nikt się węglem nie interesował. Naszej tonie wieści ze świata opowiadały bryły leżące na samej górze. Ale i one widziały coraz mniej, gdyż nie ruszana od tygodni stertę porosła bujna trawa. Narzekały na nią węgle, ale za to chwaliła ją sobie biała koza, która coraz częściej zaglądała na plac składowania. Kiwała długą brodą i twierdziła, że świeża trawka jest tu niegorsza od hodowanej na górach węgla w Cegielni Nr 10 w Pułtusk.

Nasza tona czuła się początkowo niezłe. Powoli w węglowej górze robiło się coraz cieplej i cieplej. Co słabsze bryły zaczynały się tlić, wydzielać z siebie gazy palne. Spłonęłyby biedaczki doszczętnie, gdyby nie szybki ratunek.

Gdy na miejsce wypadku przyjechała specjalna komisja, usłyszały nasze węgle o wszystkich błędach popełnionych przez ich ludzkich władców. Złożenie paliwa na piaszczystym, nie utwardzonym podłożu uszczupliło naszą tonę o 15 kilogramów. A gorąco jej było dlatego, że ułożono zbyt wysoką stertę węgla i w dodatku nie ruszano jej od miesięcy. I przez to znów schudła nasza tona. Zostało już w niej 882 kg.

Następnego ranka zabrano ocalałe bryły do wnętrza wielkiego, zakopconego domu, na którym widniał napis „Elektrownia”. Złożone w wielkiej hali czekały na swoje dalsze losy. A największa i najmądrzejsza bryła przeczytała swym siostronom napis umieszczony wewnątrz na ścianie: „Oszczędzaj węgiel — szanuj pracę górnika”.

Nasza tona znalazła się teraz na samym wierzchu sterty. Bryły z przerażeniem, ale i pewną dumą patrzyły na buchającą czerwonym ogniem paszczę olbrzymiego paleniska i potężnego czarodzieja, który nazywał się Palacz.

Nagle porwały je wielkie szufle i wrzuciły w płonące morze ognia. Część z nich zatrzymała się na rusztach, ale niektóre natrafiły na przepalone, powylamywane żebra i spadły do popielnika. Daremne



były ich krzyki o ratunek. Ruszył odburknął tylko niegrzecznie: O co tyle wrzasku? Mój brat w Goździckich Zakładach Ceramiki jest w takim samym stanie...

W palenisku zostało więc tylko o 870 kg.

Nasze węgle były pozytywnymi bohaterami i w lot pojęły, że ich zadaniem jest jak najlepsze spalanie się, wytworzenie wysokiej temperatury i ogrzanie rur z wodą w głębi pieca. Starali się jak mogli, ale brakło im tchu. Bez tlenu — ani rusz — nie można się dobrze i całkowicie spalić...

Co robi nasz czarownik Palacz? — irytowała się wielka bryła. — Dlaczego nie patrzy na analizator? Widzi przecież, że brakuje nam tlenu!

— To jakiś marny i raczej głupi czarodziej — wołała inna — nałożył nas zbyt grubą warstwę i to utrudnia ciąg...

— A gdyby tak założył pod rusztem wentylator — marzył cicho duszący się węgielek — wtedy nasze spalanie się byłoby naprawdę piękne...

A wewnątrz paleniska szalała bitwa, walczone o każdą drobinę tlenu. Było go jednak za mało i dlatego powstało wiele tlenku węgla. W efekcie nasze węgle spalając się wytworzyły znacznie mniej kalorii ciepła, zaledwie tyle, ile powinno powstać przy spaleniu 818 kilogramów. Niedbalstwo palacza spowodowało stratę 32 kg.

Zmartwione bryły nie ustawały w trudzie: owiewały gorącymi spalinami zbiorniki i rury, oddawały swe ciepło wodzie. W czasie tej ciężkiej pracy dalej dzieliły się swymi uwagami i zgodnie doszły do wniosku, że rur jest zbyt mało, że można by je umieścić jeszcze w przodzie i w tyle kotła. — Ludzie są naprawdę ograniczeni! — wołały zgodnym chórem.

Rozmowę przerwało nagle otwarcie drzwiczek paleniska; na nie wypalone jeszcze węgle spadł nowy grad brył. Zakotłowały się spaliny, wchłonęły w siebie olbrzymią ilość ciepła. Było im tak gorąco, że zamiast ogrzewać kocioł ruszyły szturmem do kanałów kominowych. Przebijając się przez zwały sadzy i zanieczyszczeń oddały część swego ciepła nie łaknącym go zupełnie kanałom i w postaci czarnych kłębow dymu poszybowały w górę. „Trzydzieści procent strat kominowych” — usiłował wypisać dym na niebie, ale był wiatr i nic z tego nie wyszło. W każdym razie realna wartość wytworzonego przez nasze węgle ciepła odpowiadała zaledwie 500 kg. Ostatecznie nasza tona stopniała do połowy.

Umilkł.

Dzieci spojrzęły na żarówkę ledwie błyskającą żółtawym, mdłym światłem i zapytały chórem:

— Czy to naprawdę była tylko bajka?

MARIA OLBRYCHT
Rys. STANISŁAW KOPF



WILHELM FELDMAN, historyk literatury polskiej lat 1863—1938, mówiąc o galicyjskich pisarzach — satyrykach doszedł do wniosku, że „górował między nimi niewyczerpanym dowcipem Jan Lam”. Ale autor znakomitych powieści „Wielki świat Capowic” i „Głowy do poźłoty” wyraźnie nie miał szczęścia do wydawców. Zbyt bojowa, zbyt polemiczna była treść jego żarliwych utworów. Lata powojenne przyniosły zaśluszoną renesans Lama. „Czytelnik” wydał „Koroniarza w Galicji” i „Wielki świat Capowic”, „Osso-lineum” niedawno „Głowy do poźłoty”. Ale twórczość pisarza znacznie wykracza poza duże formy, poza powieści; obejmuje także olbrzymią wprost ilość felietonów i kronik prasowych. Przywiązywał do nich autor dużą wagę. „Jako kronikarz z profesji — pisze Lam o sobie — muszę być tego przekonania, że kronika jest najlepszym ze wszystkich wyrobów sztuki dziennikarskiej”.

Niestety, rozproszony po trudno dostępnych zdekompletowanych czasopismach dorobek ten przysechł między pożyłkami kartami historycznych już dziś dla nas gazetowych „aktualności”. A w naszych tradycjach kronikarskich Lam, który rubrykę felietonu prowadził niestrudzenie —

KRONIKARZ GALICJI

z niewielkimi przerwami — od roku 1868 aż do swej śmierci (1886), jest niemal prekursorem, prawodawcą gatunku literackiego, który w formie lekkiej, barwnej i dowcipnej przemycił ważne treści. Po nim dopiero przejmie i wzbogaci dzieje kroniki w prasie polskiej Bolesław Prus i Aleksander Świętochowski.

Toteż pojawienie się „Wyboru kronik” Jana Lama w naszych księgarniach przyjmujemy z zainteresowaniem i radością — rzecz dotąd niemal z kręgu mitologii staje się rzeczywistością. Bo i któż by zadawał sobie tyle trudu, aby szperać po starych rocznikach czasopiśm, aby wyluskać z nich satyrę, humor, dowcip galicyjskiego pisarza z ubiegłego wieku? Zebranie w jedną całość książkową najcenniejszych kronik ułatwia dzisiejszemu czytelnikowi ich poznanie.

Ale nie tylko wybór i wydanie w formie książki ułatwia lekturę. Fe-

*) Jan Lam: „Wybór kronik”. PIW 1954, stron 385. Opracowanie i wstęp Stanisława Frybesa.

lietony i kroniki Lama są drobnymi odpryskami rzeczywistości, w której pisarz żył i tworzył; ich staranne ułożenie umożliwia nam wnikięcie w ów niepowtarzalny krakowski — lwowski światek mieszczańskich polityków, klerykałów i ziemian, oficjalnej nauki uniwersyteckiej, c.k. rządu galicyjskiego partykularza. Toteż częste aluzje do osób i faktów ówczesnych, dygresje i anegdoty utrudniają dziś odczytanie, a niekiedy uchwycenie pointy, dowcipu, atmosfery kroniki.

Satyra społeczno-polityczna, która dominuje w felietonowym dorobku Lama, domaga się komentarza. Siłą rzeczy jest on pewnym balastem dla formy literackiej opierającej się przeważnie na lekkości i krótkości. Stanisław Frybes, który dokonał wyboru kronik, opatrzył je również komentarzem pozwalającym na wnikięcie w epokę. Zrozumienie bowiem odległych dla nas personalnych wycieczek i aluzji kronikarza daje nam dopiero w pełni odczuć artyzm felietonów.

Nie są to nudne głożenia z tygodnia na tydzień. Forma kronik Lama

jest urozmaicona: zwykła autorska narracja, dialog; styl polemiczny, to znowu rejestrujący fakty (przy czym czujemy zupełną naturalność w przechodzeniu od jednej sprawy do drugiej). Zainteresowania Lama — jako prawdziwego kronikarza — są rozległe: frakomania powiatowa i zapiski zoologiczne, nowe wydanie konia trojańskiego, „eldorado wiedeńskie oraz konsorcja i koleje żelazne” wzory postuszeństwa obywatelskiego jako też „najnowszy sposób obdzierania ludzi na gładkiej drodze”.

Po lekturze „Wyboru kronik” przyjdzie nam się z pewnością zgodzić ze zdaniem Prusa o autorze „Głów do poźłoty”: „W swoich felietonach i powieściach dał on nam i naszym następcom wyczerpujący obraz wad społeczeństwa, naturalnie z barwą galicyjską. Może mylił się co do osób i faktów, ale nie mylił się co do charakterów i prądów. Jego dzieła są koncentrującym światłem zwierciadłem, w którym odbiło się całe życie kraju i epoki, począwszy od cuchnących brzo-gów Pełtwi i niewonniejszych budynków na Walach Hetmańskich, skończywszy na konstytucji austriackiej wraz z autonomią „Królestwa Galicji i Głodomierii”.

(r. w.)

FOTO

KORESPONDENCI DONOSZA

NOWY DOM DLA KONDUKTOREK

„Kto jeszcze nie wykupił biletu? Proszę posunąć się do przodu, proszę wsiadać — wóz rusza”. Naciśnięcie dzwonka i popularny żółto-czerwony autobus warszawski mknie już ulicą. Sprawne ręce konduktorki pracują niezmordowanie.

Przecinają karty, wydają bilety, odliczają resztę... A wieczorem, po pracy — powrót do nowooteatrowego Domu Młodego Robotnika przy ulicy Kieleckiej 44, przeznaczanego dla 130 pracownic MPK. Gustownie urządzone pokoje

Moja biblioteczka wzbogaciła się o bardzo cenną pozycję: jaką jest „Wybór pism” Henryka Sienkiewicza. W parę dni po ogłoszeniu przez Dom Książki subskrypcji na „Wybór pism” wpłaciłem pierwszą ratę i oto dziś mam już jedenaście tomów z wyjątkiem pierwszego, który zapewne niebawem otrzymam. O treści „Wyboru” nie będę pisał. Estetyczne inicjały oraz ilustracje Szancera trafnie oddają atmo-

KUPIŁEM „WYBOR PISM” SIENKIEWICZA...

sferę Sienkiewiczowskich dzieł. Są niestety jednak pewne „ale”.

Na przykład — papier. W jednym tomie jest on zupełnie biały, a w drugim żółtawy, w

jednym cienki, w drugim grubo.

Dalej — korekta. Jest ona, ogólnie mówiąc, bardzo niestaranna. I tak: na stronie 614 „Pana Wołodyjowskiego” czy-

tamy „miotającym” zamiast „miotającym”. Gdzie indziej znowu napotyka się na prześlawienia liter, dowiadujemy się również ze zdumieniem, że „heim” pisze się przez „ch”. W II i III tomie „Polopu” brak po kilkanaście stron druku.

Poza tym w „Wyborze” odczuwa się dotkliwy brak przypisów i odnośników, objaśniających znaczenie obcych słów i terminów oraz zwrotów słownych. Przydałyby się również bardzo mapki terenów, na których toczy się akcja „Ogniem i mieczem”, „Potopu” i „Pana Wołodyjowskiego”.

Tych niedociągnięć obecnie nie da się już naprawić. Warto by jednak, aby nie tylko PIW, ale wszystkie instytucje wydawnicze zwracały baczniejszą uwagę nie tylko na to co i ile się wydaje, ale i jak się wydaje.

T. Czabański, W-wa



Ulubioną lekturę psują błędy i niechlujstwo korekty.

LUBLIN MA SWÓJ HEJNAŁ

Z wybieciem godziny 8, 12 i 18 z galerijki starej Bramy Krakowskiej w Lublinie rozbrzmiewa hejnał. Jego tra-



Aleksander Tchórzewski — obecny trębacz Lublina.

dycja sięga wieku XVII i jest ściśle związana z Bramą Krakowską. W starych aktach pod datą 1686 r. znajdujemy zapiski dotyczące urzędu trębacza, który wówczas pełnił jeszcze i inne funkcje: ogłaszał rozporządzenia władz miejskich i biciem w dzwony alarmował mieszkańców o pożarze.

Po raz pierwszy hejnał umilkł po powstaniu styczniowym. Mieszkańcy Lublina usłyszeli go powtórnie dopiero w roku 1938, kiedy to prof. Wroński odnalazł stary tekst muzyczny. Nie na długo. Wybuchła wojna i znów lata okupacji hitlerowskiej wygnały hejnał z miasta.

Po wyzwoleniu były próby przywrócenia dawnej tradycji. Ale dopiero na 10-lecie Polski Ludowej stara melodia rozległa się z Bramy Krakowskiej. Obwieściła miastu rozpoczęcie uroczystości jubileuszowych. Od tej chwili już regularnie rozbrzmiewa piękny hejnał lubelski w całym mieście.

A. Polakowski, Lublin

TELEWIZJA DLA ŁODZI

W Klubie łączności LPZ w Łodzi przy ulicy Piotrkowskiej 125 młodzi chłopcy, najlepsi łącznościowcy z województwa łódzkiego, rozpoczęli ostatnią pracę w dziedzinie telewizji. Daleko idące są ich zamierzenia. W tym bowiem jeszcze roku chcą uruchomić stację telewizyjną na terenie Łodzi.

Młodzi łącznościowcy pracują nie tylko nad telewizją. Różne są ich zamiłowania. Jednych np. interesuje radioamatorstwo, jeszcze innych fale krótkie. Prowadzi się tu kursy łączności dwójakiego rodzaju.

ju. Pierwszy stopień obejmuje, podstawowe wiadomości z radio- i elektrotechniki, drugi — obsługę dalekopisów i central telefonicznych. Tutaj wyrastają krótkofalowcy — tutaj buduje się stacje nadawcze.

Chłopcy uczą się z ogromnym zapałem. Praca ich daje dobre wyniki. I tak np. kol. Kubiak zdobył tytuł mistrza juniorów Polski w nadawaniu znaków Morse'a na tegorocznych III Centralnych Zawodach Telegrafistów.

F. Lewandowski, Pabianice



Warto „napocić” się przy budowie krótkofalówki, by potem porozumiewać się z kolegami z innych krajów.

NAJSŁODZA Z WYSTAW

— Całe miasta, kopalnie, mury, kolarze, książki — wszystko do... zjedzenia.

— Gdzie?
— Na I Krajowej Wystawie Cukierniczej, która odbyła się w Warszawie w dniach 23 i 24 listopada. Najlepsze Zakłady Gastronomiczne, najlepsi cukiernicy z całej Polski zaprezentowali tutaj swój kunszt.

A czy poprawi to jakość ciast w naszych cukierniach?

— Tak, na wystawie przedstawiono sto kilkadziesiąt różnych gatunków ciast i ciastek, które sądzę, że w najbliższym czasie będą już wprowadzone

do produkcji we wszystkich zakładach gastronomicznych.

— Powiedz jeszcze, które miasta zostały wyróżnione?

— Pierwszą nagrodę uzyskały Poznańskie Zakłady Gastronomiczne — Wschód, druga Warszawskie Zakłady Gastronomiczne — Kawiarnie, a trzecią Krakowskie Zakłady Gastronomiczne — Zachód.

Indywidualnie pierwszą nagrodę zdobył Jan Sliwa z Krakowa, drugą B. Wołoszewski z Poznania a trzecią C. Urbański również z Poznania. Jak widzisz, poznańscy cukiernicy są najlepsi.

E. Romanowski, W-wa



Pierwsze mieszkanki Domu Młodego Robotnika w Warszawie.

BYŁE INTERES SZEDŁ

Sprzedawcy z łukowskiej piekarni przy rynku wpadli na „genialny” pomysł racjonalizatorski. W Łukowie chleb dostarczany jest piekarniom furgonami. Sprzedawcy i wozacy doszli do wniosku, że nie ma sensu przenosić go do sklepu, skoro sprzedaż można załatwić „od ręki”, czytając z furgonu. Efekt tego pomysłu mającego rzekomo ułatwić pracę jest wręcz odwrotny. Klienci tłoczą

się przy furgonie, popychają i panika gotowa.

A co będzie, gdy zacznie padać śnieg? Być może „pomysłowi” sprzedawcy nie ulegną się wichrów ani burz, ale wątpię, czy będą z tego zadowoleni kupujący. Lepiej więc, aby odpowiednie czynniki już teraz udaremniły sprzedawcom to oryginalnie pojęte „wyjście z towarem do klienta”.

St. Korzeniowski, Łuków



W piekarni pusto, a przed furgonem tłok i zamieszanie.

BEZ KOMENTARZY

Szanowna Redakcjo, W nr 44 „Świata” z dn. 31 października br. ukazała się notatka pt. „W coraz lepszych warunkach” w której autor, Zb. Tempki, opisuje nasz Dom Akademicki.

Otóż my, studentki-mieszkanki Domu przy ul. Szamarzewskiego, chcemy sprostować wspomnianą notatkę. Nie wszystko wygląda u nas tak, jak sądzić można byłoby z tej notatki. Firanki w oknach nie świadczą jeszcze o warunkach, w jakich mieszkamy. Minęły już 2 miesiące od uruchomienia naszego Domu, a do tej pory nie skompletowano jeszcze umeblovania pokoiów, za szaty np. służą nam łóżka piętrowe. Nic nam również nie wiadomo o ambulatorium, o którym wspomina autor notatki, nato-

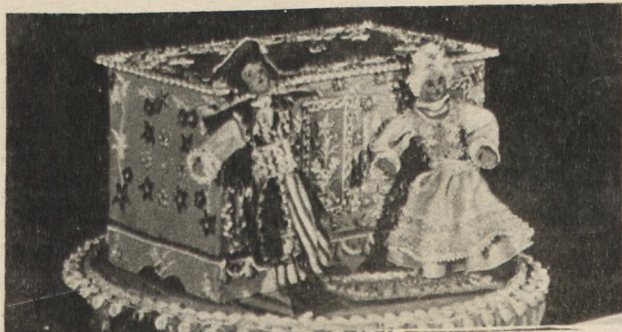
miast wiemy, że musimy korzystać tylko z 3 wanień (na 500 osób), prysznic bowiem są nieczynne.

Innego także zdania jestem o uprzejmości personelu, tak kierownika jak i portierów, którzy uważają się za absolutną władzę tego Domu, a nas traktują jak stado gosi.

Dziwi nas bardzo opinia ob. Tempkiego, który, mamy wrażenie, napisał swój artykuł nie będąc w naszym Domu i nie znając kompletnie panujących w nim stosunków.

Prosimy gorąco o wydrukowanie naszego listu, ewentualnie o przesłanie go do odpowiednich władz.

Mieszkanki Domu Akademickiego
Poznań, Szamarzewskiego 19



Tort ozdobiony misterną skrzynią krakowską i ludowymi figurkami wykonał J. Sliwa z Krakowa.

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

Z DZIEJÓW FOTOGRAFII

Prototypem dzisiejszego aparatu fotograficznego była camera obscura, zwykła skrzynka z otworkiem w przedniej ścianie, by promienie padające przez ten otwór tworzyły na przeciwległej ścianie obraz przedmiotów znajdujących się przed pudełkiem. Ten „pradziadek” naszego aparatu może mieć i dzisiaj zastosowanie jako tzw. aparat otworkowy, którym również możemy dokonać zdjęć, wprowadzając daleki od doskonałości i wy-magającego nader długiego czasu naświetlania.

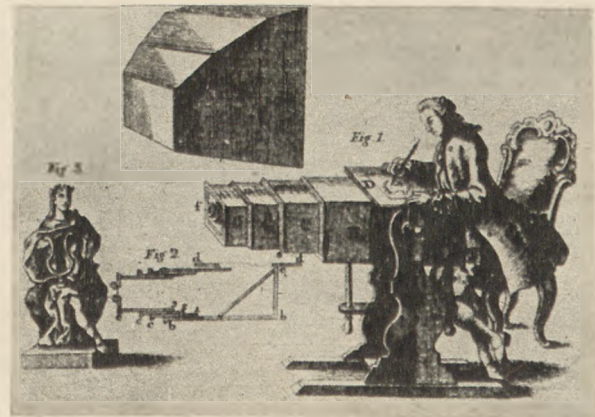
Camera obscura, której wynalazek przypisywany jest genialnemu Leonardowi da Vinci (on to w każdym bądź razie dał jej dokładny opis), używana była przez malarzy, rysowników, ilustratorów, a również przez geodetów, mierniczych, astronomów i wojskowych, jako przyrząd do rysunków. Otworek zastąpiono obiektywem, rzucającym dość jasny obraz na deskę kreślarską lub matówkę, wprowadzono lustro, odbijające promienie tworzące obraz i odwracające go „nogami w dół”. Rysownik miał więc dzięki kamerze rysunkowej ułatwioną pracę, doskonale odtworzoną perspektywę i proporcje.

Takim przyrządem do rysunków posługiwało się wielu słynnych malarzy, jak Antonio Canal, Guardi i — szczególnie bliski sercu mieszkańców stolicy — świetny malarz starej Warszawy — Canaletto (Bernardo Belotto, 1720—1780).

Na załączonej reprodukcji starych szkiców widzimy kamerę rysunkową, którą posługiwano się w XVIII wieku. Na szkicu przedstawiającym przyrząd taki w układzie poziomym, zdjeta jest jego górna część, przykrywająca głowę rysującego.

W swej książce pt. „Prehistoria filmu” Władysław Jęwsiewicki podaje, iż uczeń i artysta włoski, L. B. Alberti, skonstruował też podobny aparat, zwany „camera lucida” (kamera świetlna). Służył on do kopiowania rysunków lub szkiców technicznych. Gdy Alberti rysował plany architektoniczne lub obrazy, uczniowie jego dokonywali odbicia tych rysunków na przygotowanych płaszczyznach za pomocą kamery świetlnej i w ten sposób przerysowywali je.

Camera obscura dała więc początek nie tylko współczesnym aparatom fotograficznym, lecz i przyrządom, które jeszcze przed wynalazkiem Daguerre'a były stosowane w praktyce.



NOWY FILM POLSKI

„OPERACJA – NADZIEJA“

W Lagowie Lubuskim ukończone zostały zdjęcia plenerowe do nowego filmu produkcji polskiej, noszącego tymczasowy tytuł „Operacja – Nadzieja”. Reżyserem filmu jest Jan Rybkowski, scenariusz napisał Jerzy Pomianowski, zdjęcia operatora Władysława Forberta. W filmie tym poza kilkudziesięcioma aktorami bierze udział przeszło 100 absolwentów i studentów Państwowych Szkół Aktorskich z Łodzi, Warszawy i Krakowa.

Akcja filmu rozgrywa się na kilka dni przed zakończeniem wojny w dopiero co oswobodzonym małym miasteczku niemieckim. Spotykają się tu ludzie najrozmaitszych narodowości, którzy po zakończonej wojnie powracają do swoich domów. Oto kilka scen z tego filmu, który ukończony zostanie całkowicie w pierwszych miesiącach 1955 r.



Ranni są w niebezpieczeństwie, trzeba natychmiast ewakuować szpital.

Dobrze, że skończyło się tylko na przymusowej kąpieli. W okresie ewakuacji mogło być znacznie gorzej.



Jerzy Pietraszkiewicz jako inż. Uriaszewicz w scenie na wraku krążownika.

Lagów Lubuski „ucharakteryzowany” na niemiecki Lyx.



ARA" — INACZEJ

BĘDĄC od długiego już czasu regularnym bywalcem sal kinowych i oglądając przewijające się przez nie nowe filmy polskie, zauważyłem istnienie pewnego powtarzającego się przepisu. „Klasyczne” już dzisiaj filmy, o których tak dużo i głośno się mówiło, odznaczają się zazwyczaj brakiem akcji i rozgrywają się w wielu odległych od siebie miejscach.

Spróbujmy przyłożyć ten przepis do nowego polskiego filmu „Uczta Baltazara”. Przylegać będzie do niego prawie dokładnie, pozostawiając jedynie niewielkie szparki, przez które przedostaje się jednak trochę ożywczego powietrza.

Sądzę, że zasadniczym osiągnięciem tego filmu jest mocne ustawienie go w czasie, w którym się rozgrywa. Rok 1947 żyje na ekranie wraz ze wszystkimi swoimi problemami, z atmosferą budowy i podziemiem, handlem walutą i mętnymi interesami. Każdy z przewijających się na ekranie ludzi żyje życiem właściwym dla niego w tym okresie czasu. Ich myśli, słowa, gesty, a nawet ubiór oddane są bez zarzutu, wynikają z psychologicznej znajomości człowieka i znajomości czasu, w którym rozgrywa się akcja. Z ekranu patrzy na nas potężny kawał nie tylko warszawskiej historii. Jest to bezsporna zasługa filmu.

Chciałbym, omawiając zalety filmu, poruszyć jeszcze sprawę jego bohatera. Przyjeżdża on do Warszawy z zamiarem odzyskania cennego obrazu, sprzedania go, za uzyskane zaś pieniądze pragnie żyć, jak mówi, spokojnie w małym domku na południu Francji. I oto w poszukiwaniu obrazu styka się z różnymi ludźmi, poznaje ich myśli i zamiary. Ludzie i sytuacje kierują jego postępowaniem. Nie wygłasza żadnych mono-

logów określających jego przekonania. Dostał się w wir życia i samo życie kieruje go na właściwą drogę.

Ten brak pustych deklaracji u samego bohatera jak i w pewnym sensie u otaczających go ludzi, jest drugą zaletą filmu. Łatwo jest uwierzyć w przemianę, jaka się w nim dokonała, jest ona bowiem prosta, jasna i uzasadniona. I to jest trzecia dodatnia cecha filmu.

Po wyjściu z kina zadałem sobie pytanie: dlaczego w większości filmów polskich bohater reprezentujący postępowe siły społeczne musi być sztuczny, toporny, mówiący drewnianym głosem? Czy postacie oddanych, ofiarnych ludzi muszą być zawsze postaciami papierowymi, poruszającymi się jak kukły, wykonywającymi ruchy jak za pociągnięciem sznurka? W „Uczcie Baltazara” — mimo bezspornych zalet tego filmu — nie udało się niestety wykluczyć tej stale powtarzającej się wady. Kapitan Birkut, jedyny człowiek (poza małą rolę porucznika KBW) odzwierciedlający ludzi ofiarnie budujących nowe życie, jest postacią nieprzekonywającą. O ileż prawdziwszy jest stryj Uriaszewicz czy ksiądz Sposs!

Brakuje także filmowi zwartości dramatycznej. Coś się w nim nie klei, rozłazi i widz z trudem łączy sobie w jedną całość szybko zmieniającą miejsce akcję. Fakt, że akcja często i szybko zmienia miejsce, nie stanowi jednak o jej szybkości. Niestety, jest ona o wiele za wolna, przetykana w wielu miejscach sennymi dłużyznami.

W sumie jednak, poprzez szpary w przyłożonym przepisie przedostaje się tyle jasnego światła, że film zajmuje widza i zmusza do pozostania do końca. A to jest na pewno osiągnięcie.

JAN ZALEWSKI



Nina Andrycz w roli jednej z czołowych postaci filmu — tancerki d'Ursin.



Postać kapitana Birkuta wypadła na ekranie sztucznie i nieprzekonywająco.

J. Chojnacka i B. Pawlik w jednej ze scen filmu.



Amerykańskie boogie-woogie wzbudza ogólną wesołość.



Młodzi studenci grają jak wytrawne wygi filmowe.





Na pierwszych meczach tenisowych zdarzało się, że widzowie, w wypadku przegranej faworyta, wszczynali bójkę, aby w zamieszaniu uciec i nie zapłacić przegranego zakładu. A trzeba wspomnieć, że publiczność w czasie rozgrywanych spotkań nie gardziła mocnym winem. Reprodukowany drzeworyt pochodzi z XVIII w.



Tak wyglądał w 1610 roku wędrujący handlarz rakietek tenisowych oraz piłeczek, który jednocześnie sprzedawał szczotki i inne tego rodzaju przedmioty.

Już Homer znał tenisa...

HISTORIA tenisa obejmuje tyle stuleci, sięga tak głęboko w starożytność, że trudno ją tu, z uwagi na szczupłość miejsca, przedstawić od legendarnych początków, od czasu obłężenia Troi. Wystartujemy zatem ze średniowiecza, gdy tenis, nazywany wówczas we Francji, gdzie najbardziej się rozwinął — „jeu de paume“^{*)}, grą w piłkę — zdobył sobie popularność, gdyż był rozrywką królów i dworu, chłopów i mieszczan, nawet księży. Tylko że ci ostatni nie znajdowali zrozumienia u swych przełożonych. Np. Stefan de Poucher, biskup Paryża, wydał w 1512 roku podległym sobie księżom zakaz uprawiania „jeu de paume“, a w statutach synodalnych diecezji Soisson z roku 1673 możemy przeczytać:

„Zabraniaemy wszystkim duchownym naszej diecezji

^{*)} W dosłownym tłumaczeniu „gra dłoni“.

uczęszczania i grania w „jeu de paume“ oraz w inne gry, jakie odbywają się w ogrodach i miejscach publicznych“.

Ale zakazy zakazami, a pasja sportowa bywa od nich silniejsza. Oto dwór Franciszka I, pierwsza połowa XVI wieku. W specjalnie przystosowanej do tenisa sali stają naprzeciw siebie dwie pary: król Franciszek I i jakiś mnich oraz dwaj wielcy magnaci. W pewnej chwili mnichowi udaje się tak skierować piłkę, że przeciwnicy nie są w stanie jej odbić. Para król — mnich zwycięża.

— Ach mnichu! — krzyknął król — co za wspa-
niałe uderzenie!

— Jeśli Waszemu Majestatowi spodoba się, będzie to uderzenie opata — odparł rezolutny mnich, dopin-
gając króla, by awansował go w hierarchii kościelnej.

Jak głosi legenda, mnich ten rzeczywiście dopiął swego — został opatem, a zawdzięczając awans teni-
sowi, przez palce patrzył, gdy podlegli mu duchowni, mimo zakazów, grywali z „pospólstwem“ w coraz bar-
dziej popularną „jeu de paume“.

A oto król Henryk IV, o którym legenda głosi, że powiedział pewnego dnia, iż chciałby, aby każdy wieśniak mógł w niedzielę włożyć do garnka kurę — co oznaczać miało, że pragnie dobrobytu całego naro-
du. Z tym dobrobytem różnie bywało, a już chłop francuski o kurze będącej częścią niedzielnego obiadu nie mógł nawet marzyć. Wróćmy jednak od kur do tenisa. Otóż Henryk IV był jego wielkim, zapalonym miłośnikiem. Potrafił, jak potwierdzają to historyczne źródła: „w sobotę, 24 września 1594 roku, grać cały

Jak wynika z tego rysunku pochodzącego z XVI wieku, w „jeu de paume“ grywano parami. Mecze rozgrywano w specjalnie do tego celu przystosowanych krytych halach, których w 1657 roku w Paryżu było już 114.



Kłótnie i spory na kortach tenisowych nie są wynalazkiem nowoczesnym. Jak widać na reprodukowanym

dzień, nie bacząc na to, że pękła mu koszula na plecach. Może jednak „ukryte zawodowstwo” było przyczyną kondycji królewskiej, bo oto czytamy:

„W czwartek, 27 października tego samego roku, król wygrał w „jeu de paume” czterysta talarów, które natychmiast kazał złożyć do swego kapelusza, mówiąc donośnym głosem:

— Trzymam mocno te talary, nikt mi ich nie ukradnie, gdyż nie przejdą one przez ręce mych skarbników.

Słowem, król, maltretowany przez swych skarbników, ciągnął z tenisa korzyści materialne, będąc jednym z pierwszych zawodowców w świecie. Zresztą w owych czasach wysokie zakłady pieniężne były przy grze w tenisa na porządku dziennym. A doprowadzały często do tego, że popijający wino widzowie, w wypadku przegranej swego faworyta, z wielkim animuszem wszczynali bójki, by w zamieszanu uciec i nie płacić przegranego zakładu. Musiało to być częste zjawisko, skoro stało się nawet tematem rysunku, który reproduujemy obok.

Z tenisem były zresztą i inne kłopoty. Oto w roku 1610 zatwierdzony został w Paryżu statut cechu rzemieślników, wyrabiających rakiety, piłeczki i inne przybory do tego sportu, a jednocześnie trudniących się szcztokarstwem. Nim jednak cech ów został zorganizowany, różni majstrowie wyrabiali rakiety w dość partyzancki sposób. Zamiast dzisiejszych strun używano wówczas pergaminu. Był on jednak artykułem rzadkim i drogim. Znaleźli się wówczas w Paryżu „spryciarze”, którzy kradli z bibliotek stare manuskrypty pergaminowe i sprzedawali je poszukującym tańszego surowca rzemieślnikom. I oto jeden ze średniowiecznych kronikarzy francuskich ze zgrozą pisze, że widział rakiety wyłożoną „cennym manuskryptem Titusa Liviusa (historyk rzymski, urodzony w 59 roku starej ery — przyp. red.), którego dziś nigdzie już nie odnajdziemy, a który wraz z wielu foliami zginął z klasztoru żeńskiego w Fontevault”.

I jeszcze jedna historyjka, która powinna szczególnie zainteresować naszą Jadzię Jędrzejowską oraz wszystkie inne zawodniczki. Jeden z mieszczan paryskich prowadził swe pamiętniki. Pod datą 5 września 1427 roku możemy w tych pamiętnikach znaleźć następującą wzmiankę:

„Przybyła wówczas do Paryża niewiasta imieniem Margot, licząca sobie 28 lat (a gdzież dzisiejsza dyskrekcja — przyp. red.), pochodząca z Hainault. Grała ona w „jeu de paume” lepiej niż każdy mężczyzna, i to grała obu rękami bardzo chytrze i bardzo płynnie. I nie było mężczyzn, którzy by z nią wygrali”.

To dopiero musiała być tenisistka — owa 28-letnia Margot!

Grali więc w starożytnego tenisa wszyscy — królowie, mieszczaństwo, magnaci, chłopcy, księża, kobiety i mężczyźni. Była to gra tak popularna, że podróżnik angielski Dallington, zwiedzając Francję w latach panowania Henryka IV, napisał dosłownie: „W kraju tym więcej jest ludzi grających w piłkę niż w Anglii pijaków”. A pijaków w Anglii nigdy, jak wiadomo, nie brakowało. Zresztą, by potwierdzić zdanie Anglika, wystarczy przypomnieć, że według danych statystycznych z 1657 roku było w Paryżu 114 placów i hal krytych do gry w „jeu de paume”.

Dziś nie ma już „jeu de paume”. Jest tenis, o co zresztą Francuzi mają wielką pretensję do siebie i do Anglików. „To my wynaleźliśmy tę grę, a teraz nazywamy ją słowem pochodzącym z angielskiego; nasze reguły gry Anglicy nieco tylko poprawili i stali się „wynalazcami”.

Mylą się jedni i drudzy. „Jeu de paume” czy „tenis” to nie wynalazek ani Francuzów, ani Anglików. To stara gra, o której słyszał już Homer pisząc „Iliadę”.

Opracował: W. GOŁĘBIEWSKI

sztychu, już w dawnych czasach wynikały nieporozumienia na korcie. Oto scena sprzeczki między graczami.



KIEDYŚ BĘDĄ REKORDZISTAMI

Popularna para sportowców Emil i Dana Zatopkowie odwiedzili ostatnio większe miasta w NRD i wygłosili szereg pogadanek na tematy sportowe. A w ogóle w Republice czyni się olbrzymie wysiłki w kierunku rozwoju i umacniania sportu. W NRD założono wiele szkół sportowych, w których dzieci już od najmłodszych lat, pod kierunkiem najlepszych instruktorów, zapoznają się z różnymi dyscyplinami sportu. Jedną z takich wzorowych uczelni powstała we wrześniu ubiegłego roku w Prenzlauer Berg pod Berlinem. Rząd NRD nie szczędzi kosztów na wychowanie sportowe młodzieży. Na ten cel przeznaczają się rocznie dla każdego ucznia w Berlinie 1.090 marek.



POZNAŃSKIE

figi i banany

Bambusy rosną po prostu w oczach. W ciągu zaledwie 3 miesięcy osiągają wysokość kilkunastu metrów. Około 20 cm wzrostu na dobę to prawdziwy rekord.



ZA OKNAMI na dobrze już zamarzniętej sadzawce chłopcy zaimprovizowali hokeja. Kawałek lodu zastępuje im krążek.

Za oknami skrzy się śnieg, a w poznańskiej palmiarni pną się ku słońcu grube, zielone liany, dumnie rozpościerają swe sztywne liście drzewa bananowe, owocują krzewy kawy i wanilii.

Patrzac na wspaniałe okazy rozłożystych palm, na grube liście agaw i kaktusów, na mieniące się gamą barw drapieżne storczyki przenosimy się myślą w dalekie, nieznane kraje.

Oddychamy gorącym, przesyconym wilgocią powietrzem. Nad szerokim basenem unoszą się gęste opary. Woda ma temperaturę 30 stopni — taką właśnie, jak w ojczystej rzece wspaniałej Victorii Regii — Amazonce. Na powierzchni unoszą się kolisty, zagięte ku górze liście, spośród nich wychyla się różowy kielich kwiatu. W pełnej krasie zobaczyć go można tylko wieczorem, w dzień stula swe płatki.

Bambusy rosną po prostu w oczach. W ciągu 3 miesięcy osiągają wysokość kilkunastu metrów. Na dobę więc przypada około 20 cm wzrostu.

Miłośnicy filodendronu nie domyślają się z pewnością, że ta piękna dekoracyjna roślina w swej ojczyźnie jest wielkim pnączem, które kwitnie i zawiązuje podobną do kolb kukurydzy owoce, w smaku przypominające jabłko. Trzeba tylko na nie czekać dość długo, gdyż dojrzewają około 12 miesięcy.

W szklarni owocują również banany, na drzewach melonowych złocą się ciężkie kule, corocznie odbywają się miniaturowe zbiory bawełny, pieprzu czy fig.

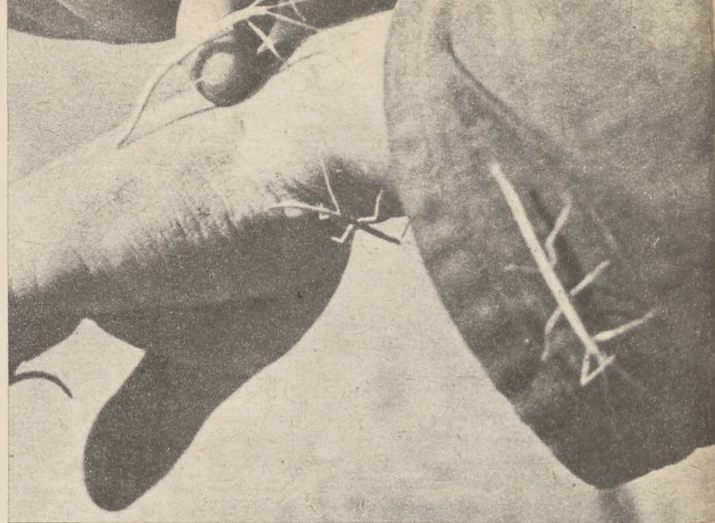
Przez cały rok pełno w palmiarni różnobarwnego kwiecia. Wysoko u sufitu mienią się żółte, przypominające trochę mimoszę, wiechy palm, niżej zachwycają kształtem i kolorami orchidee, rozjaśniają zielonoszarą barwę mięsistych lodyg czerwone, różowe, białe kwiaty kaktusów.

Gdy gałązki bielunia obsypie śnieżny kwiat, nie wolno zbyt długo napawać się ich zapachem: ciężka, dusząca woń doprowadzić może do ataku szału. Nie darmo nasz rodzimy, skarłowaciały bielun nazwano w gwarze ludowej szalejem.

W okresie kwitnienia kaktusów wszyscy obserwują Królową Nocy. Przez długie dni duży pąk szczerze zaciska swe płatki, aby nagle któregoś wieczoru rozwinąć się w efektowny, biały kwiat. Efektowny, ale nietrwały. Życie jego kończy się wraz z nastaniem świtu.

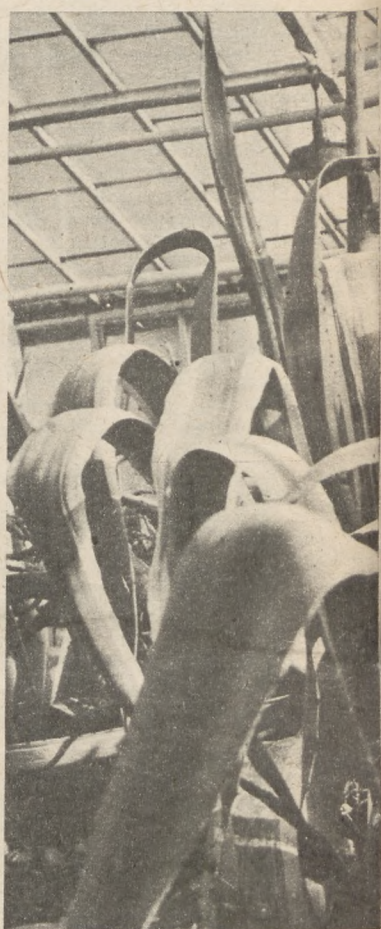
W palmiarni wiele można poznać i zobaczyć. Na 1694 metrach kwadratowych zgrupowano około 5 tysięcy roślin, reprezentujących 600 gatunków egzotycznej flory. Szklarnia w Poznaniu pod względem wielkości i wyposażenia technicznego jest trzecia w Europie — wyprzedzają ją tylko zimowe ogrody w Londynie i Wiedniu. Teraz, w związku z wznowieniem Targów Poznańskich, projektowana jest dalsza jej rozbudowa.

(Olb)



Pręcikowiec do złudzenia przypomina kawałek patyczka lub lodygi, potrafi również tak jak kameleon zmieniać barwę. Walka z nim jest bardzo trudna.

W pawilonie suchostów, bo tak brzmi oficjalna nazwa kaktusów.



Z ZIEMI GOŚCINNEJ DO POLSKI

HIERONIM MICHALSKI

JEŻELI kiedyś w przyszłości dziejopis naszego piśmiennictwa będzie zajmował się utworami poświęconymi ostatniej wojnie, to książce Janiny Broniewskiej „Z notatnika korespondenta wojennego(*)” będzie musiał wyznaczyć szczególne miejsce. Pod tym skromnym tytułem ukazała się książka jedyna w swoim rodzaju i niezwykła.

Tytuł wymaga dopowiedzenia: wiąże się on z funkcją sprawowaną przez autorkę przy I Korpusie Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Już to wystarczy, żeby ze względu na utrwalone obserwacje obudzić najwyższe zainteresowanie czytelników. A przecież wypadła od razu zauważyć, że zebrany w książce materiał obejmuje znacznie szerszy zakres, tak właściwie szeroki, że działania frontowe I Korpusu, którym autorka towarzyszyła od stycznia 1944 r., ukazują się mimo ich ogromnej wagi zaledwie jako jeden z fragmentów. W istocie bowiem otrzymaliśmy opowieść ujmującą główne momenty epopei naszego wychodźstwa w Związku Radzieckim po tragicznej klęsce wrześniowej.

Jest to zatem wśród tak wielu utworów o czasie

wojny pierwsza próba zobrazowania spraw i wydarzeń, którym przypadła rozstrzygająca rola w kształtowaniu losów naszego narodu i jego niepodległości. Nie trzeba dodawać, jak bardzo tego rodzaju próba była oczekiwana.

Niezwykłość książki Broniewskiej tkwi, obok zasięgu materiału, także w tym, że o doświadczeniach i wysiłkach tamtego okresu autorka nie opowiada dopiero ex post jak o zastygłej już w swoich kształtach historii, lecz daje im świadectwo o najbardziej bezpośredniej wymowie. Książka mianowicie stanowi dokument, przypomniany dzisiaj z okazji dziesięciolecia wyzwolenia, ale związany ściśle z okresem, do którego się odnosi. Jest to jednak dokument swoistego charakteru. Autorka odtworzyła po prostu swoje zapiski pamiętnikarskie, rzucane na papier urwykami niemal z dnia na dzień przez wszystkie lata wojny. Stąd zarówno specyficzny ton, jak i specyficzna perspektywa obrazu.

„Historia złapana na gorącym uczynku” — ten zwrot przewijający się wielokrotnie jak refren przez karty notatnika mówi najlepiej o charakterze opowieści, dalekiej od jakiegokolwiek oficjalności, wolnej od pedanterii, ba, wymykającej się nawet spod rygorów systematyczności, snutej wyłącznie z osobistej perspektywy, a przecież mimo to utrwalającej wielkość widzianego i przeżywanego czasu, nabierającej przez to wagi dokumentu, będącej u ostatecznym obrachunku wyjątkowego znaczenia przyczynkiem do historii.

Pisarka była przecież kolejno pracownicą kolchozu na dalekim zapleczu, potem korespondentem dziennika „Izwestia”, dalej członkiem zespołu „Nowych Widnokręgów”, pisma, które zaczęło walkę ideologiczną o właściwą orientację wśród wychodźstwa, następnie instruktorem wydziału wojskowego Związku Patriotów Polskich, wreszcie korespondentem wojennym przy Polskich Siłach Zbrojnych. Wiązały się z tym kontakty z ośrodkiem kierowniczym wychodźstwa, kontakty z takimi postaciami, żeby wymienić jedynie najwybitniejszych działaczy, jak Alfred Lampe,

(*) Janina Broniewska: „Z notatnika korespondenta wojennego”. Wyd. MON, t. I — 316 stron, t. II — 441 stron.



Gamą barw mienią się wspaniałe, egzotyczne storczyki. „Pantofelek Wenery“ to żółtozielona orchidea, nakrapiana w ciemnoczerwone, jakby tygrysie centki.

honorowe miejsce zajmują olbrzymie, mięsiste agawy. Te wspaniałe rośliny są jednak ogromnie leniwe, kwitną i zawiązują nasiona zaledwie raz na 60 lat.



Wanda Wasilewska, Karol Świerczewski. Nasyciło to w bardzo zasadniczym stopniu materiał zapisków. Bez wątpienia, Broniewska wykazała jako pisarka, poza talentem, żarliwy uczuciowo i zarazem przenikliwy w ocenach politycznych stosunek do opisywanych ludzi i spraw. W pamiętniku jednak te cechy stanowią tylko nieodzowny element, podczas gdy podstawową jego wartość zostaje przede wszystkim zakres objętego materiału. W perspektywie, jaka stała się autorce dostępną, zasięg obserwacji okazał się olbrzymi. On właśnie decyduje o znaczeniu książki.

Niesposób zdawać w recenzji sprawę z tego, co znajdujemy w „Notatniku“ Broniewskiej. Jeżeli nawet autorka nie pokusiła się o jakąś pełną i wymierzoną w szczegóły oraz proporcjach syntezę, ograniczając się do notowania tego, co przeżywała i widziała, niekiedy tylko dopełniając zapiski zastyszczanym opowiadaniem, czy też wyciągami z listów, prasy, przemówień lub oficjalnych dokumentów — to przecież całość jej materiału staje się mimo wszystko swojego rodzaju skrótem historii, obejmującej okres zaczęty dymami nad palącą się Warszawą w r. 1939 i zakończony w niniejszej relacji ścisłującym serce milczeniem gruzów stolicy wyzwolonej w styczniu 1945.

W opowieści, na którą składają się urywkowe zapiski, warto dla dopełnienia recenzji zwrócić uwagę na pewne wątki, przewijające się przez karty książki i uwypuklające jej ogólną wymowę.

Oto jeden z nich, związany z „rewolucyjnym sztafem polskiego komunisty“. Autorka, opisując przodującą rolę komunistów w organizowaniu walki o wyzwolenie, kreśli sylwetki wielu ludzi, których hart, niezłomność dążeń i jasność widzenia celu stanowią bezcenny wkład w krystalizację polityczną wychodźstwa. Kiedy czyta się te stronic, chciałoby się powtórzyć słowa, które autorka zanotowała po przejrzeniu kroniki jednego z pułków na froncie: „Poczekaj-

Dokończenie na str. 22

SWIAŁ

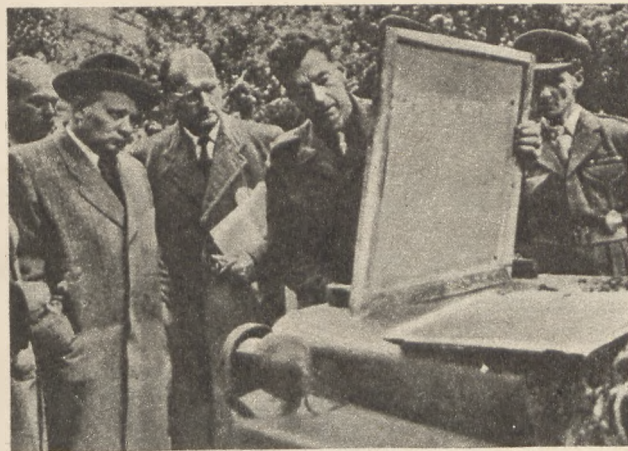
o tym wie!

JESZCZE W CYWILU

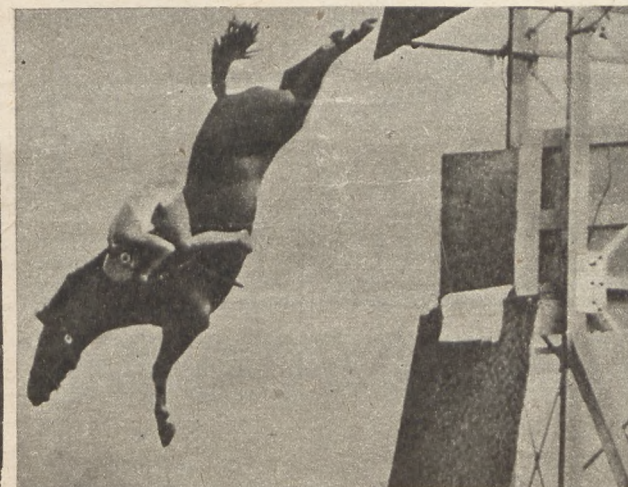
W Niemczech zachodnich odbyły się niedawno manewry NATO pod kryptonimem „Battle Royal“. Wzięło w nich udział wiele oddziałów wojsk amerykańskich i angielskich, stacjonujących w bostońskiej republice. Sztab jednego z oddziałów przyjmował w czasie manewrów trzech „gości oficjalnych“, którzy jeszcze występowali w cywilu (patrz zdjęcie). Niemniej jednak fachowcy ocenili pozytywnie przedstawione im do wglądu plany i wy-

kresy ćwiczeń. Goście ci — to twórcy nowego zachodnio - niemieckiego Wehrmachtu, który zgodnie z niedawnymi porozumieniami współpracować ma ręką w rękę z armią Atlantydów. Od lewej widzimy: byłego hitlerowskiego generała Heusingera, adenauerowskiego ministra Blanka. (w kapeluszu) i byłego generała Speidla.

Jak widać, „współpraca“ przebiega w idealnej harmonii.



„SPORT“ ZA 50 CENTÓW



Zachodnio - niemiecki tygodnik „Frankfurter Illustrierte“ donosi, iż grupa przedsiębiorczych businessmanów z Atlantic City pod Nowym Jorkiem „wynałazła“ nowy rodzaj sensacyjnego sportu. Polega on na tym, iż mocno roznieglizowana piękność, niejaka miss Hackney, wykonuje skok z trampoliny... na koniu. Wyokość trampoliny, stojącej

nad specjalnym basenem, wynosi 14 metrów. Wstęp na tę konkurencję sportową kosztuje tylko 50 centów. Przynosi to jednak niezły dochód, ponieważ wyczym ten cieszy się wielkim powodzeniem wśród żądnych sensacji Amerykanów.

Jednego tylko nikt nie wie: jaki ten sport ma właściwie sens?



„TALERZYKI“ TYM RAZEM NAD FRANCJĄ



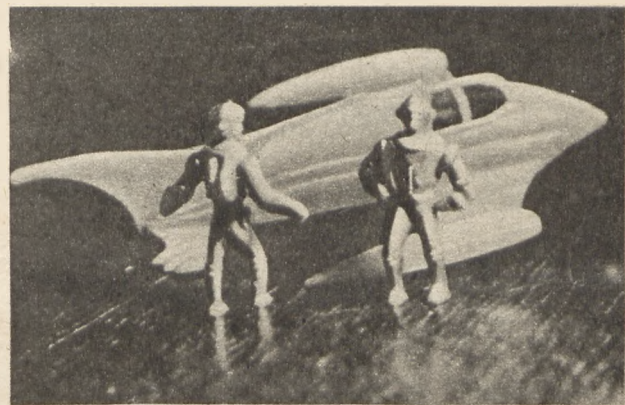
Sensacyjny „dokument“ monsieur Couthure.

Od pewnego czasu Francja stała się terenem rzekomych „wyczynów“ wymagających załóg „latających talerzyków“. Nie ma prawie brukowca, który by nie poświęcił temu „zagadnieniu“ przynajmniej paruset wierszy, a nawet całych kolumn w każdym numerze. Kolumny te zaopatrzone są przy tym często w zdjęcia, które mają „zelektryzować“ opinię publiczną. Jedno z takich zdjęć reproduujemy powyżej. Wykonane ono zostało przez niejakiego monsieur Couthure z miasteczka Montauban i spowodowało nie lada sensację. Autor

zdjęcia wyjaśnił przy tym przedstawicielom prasy, iż wykonał je z pewnej odległości, gdyż bał się podejść bliżej do „straszliwych Marsjan“.

Po pewnym czasie, gdy zdjęcie obiegiło już prawie całą Francję, „straszliwy dokument“ został zdemaskowany: po prostu żądny sensacji i sławy monsieur Couthure sfotografował w swym ogródku (w odpowiednim oświetleniu) dość pospolitą zabawkę dzieciinną, którą nabyć można w wielu sklepach.

Taki koniec miewają mity fabrykowane na użytek naiwnych...



Zdjęcie dzieciinnej zabawki.

SIEKIERKA, REKLAMA I SKUTKI



„Spójrzcie na zdjęcie z lewej! Tak wyglądała szesnastoletnia Lena-zabijaczka w chwili aresztowania. A tak — zdjęcie z prawej — wygląda dziś! Dziewięć lat temu śliczna Lena zatłukła na śmierć sturuszka-krawca przy pomocy małej siekierki, którą zwykle nosiła w torebce „na wszelki wypadek“, jak się wyraziła. Teraz młoda osobka zaczyna nowe życie. Widzimy ją, jak wesóło gwarzy z reporterami, jak roześmiana patrzy na błękitne niebo i zapowiada, że chce być

sekretarką w jakimś dużym biurze...“

Winszując przyszłemu szefowi panny z siekierką, chcemy dodać, że przytoczony tekst nie pochodzi od nas. Jest to początek sążnistego opisu na pierwszej stronie wielkiego nowojorskiego dziennika „New York Herald Tribune“ — tuż obok niemniej sążnistej wiadomości o „zabijaczach dla sportu“. Tak reklamując zbrodnię, gazeta dziwi się w tym samym numerze, dlaczego młoda morderczyni znajduje naśladowców.



pozycji) każde słowo nieszczęśliwych małżonków.

— Ja bardzo przepraszam wysoki sąd... (to mówi ona)... Ja rozumiem, że wysoki sąd jest w tym wieku... ja bardzo przepraszam... że zdążył już zapomnieć, jakie konsekwencje wyniknąć mogą w życiu małżeńskim, gdy jeden z współmałżonków przez miesiąc nie myje zębów. Ja bardzo oczywiście przepraszam, ale może wysoki sąd przed wydaniem wyroku raczy sobie te rzeczy przypomnieć.

— Więc to niby ja jestem winien, czy tak?!! (teraz to on mówi, a właściwie krzyczy). Ja jestem winien, że w całej Warszawie nie można dostać głupiej pasty do zębów? Ja jestem winien? Więc co miałem zrobić? Tak, jak ona, używać tych pastylek „Floridont”, czy jak je tam? Nie dość, że ja się przez te jej pastylki spóźniałem do pracy, jeszcze by ona się miała spóźniać do swojej. Wysoki sąd może sobie wyobrazić, co by się wtedy działo?

Teraz mówi sędzia:
— Proszę się uspokoić. Proszę spokojnie wyjaśnić, co to znaczy „spóźniałem się do pracy przez te jej pastylki”?

— Co to znaczy? To znaczy, że moja żona, która uparła się, że musi codzien-

nie myć zębów, kupiła — ponieważ nie ma innej — tę pastę w pastylkach. O, proszę wysokiego sądu, tu jest dowód rzeczowy, przepis użycia z rysunkiem. Taką pastylkę trzeba położyć na szczoteczkę, potem szczoteczkę z pastylką włożyć do szklanki z wodą. Przy tym, proszę, tu jest na obrazku, trzeba trzymać szczoteczkę pochyło i szklankę pochyło, żeby pastylka nie spadła, albo, gdy ktoś ma zreczne ręce, może trzymać szklankę prosto, a tylko szczoteczkę pochyło. O, proszę, tak jak na tym drugim rysunku. A potem trzeba czekać, aż ta pastylka rozmięknie i zamieni się w pastę. Otóż mogę wysokiemu sądowi przysiąc, że przedzieję się hotel, na którym wysoki sąd zasnęła, w pastę zamieni, niż... ach przepraszam, przepraszam, już jestem przywołany... Ale to dlatego, że nie mogę się powstrzymać. Nerwy, wysoki sądzie. No bo niech sobie wysoki sąd wyobrazi, że idzie na siódmą trzydziestą do pracy. No i, powiedzmy, żona wysokiego sądu też na siódmą trzydziestą. Wysoki sąd nie ma żony? Przepraszam, nie wiedziałem. No, ale przypuśćmy. Albo niech już będzie o nas. Więc o godzinie szóstej moja żona wchodzi do łazienki. Normalnie, prawda, po dziesięciu minutach wychodziła, potem ja się myłem i oboje razem szliśmy do pracy. Pięknie, punktualnie, w porządku. A teraz? Dzieci się po szóstej pukam i słyszę: „Poczekaj jeszcze, Kochany, pastylka mi spadła, bo zbyt pochyło trzymałam, muszę jeszcze raz”. Piętnaście po szóstej pukam i słyszę: „Już, zaraz, najdroższy, tylko się rozpuść. Błagam cię nie trzaskaj drzwiami, bo spadnie i będzie jeszcze dłużej trwało”. A ja, proszę wysokiego sądu, jak na szpilkach, jak na szpilkach. Wysoki sąd sam rozumie — dyscyplina pracy. Kilka razy spóźniłem się, była w bluzie awantura. Więc proszę, błagam: „Zostaw te pastylki, nie myj zębów. Zaczekaj tak jak

ja. Przecież ci z przemysłu mydlarsko-kosmetyczno-perfumeryjnego, czy jak mu tam, też muszą myć zęby. Jak im się prywatne zapasy wyczerpią, to zorientują się, że w sklepach zabrakło i zaczną znów produkować. Więc kiedys ta pasta znów będzie. Zresztą może winna jest tylko sancta dystrybucja — tak jej tłumaczę, mojej żonie — no to, jak ta nasza dystrybucja dostanie po głowie, to sprowadzi tę tonę pasty z któregoś tam Pipidówki i przewiezie do Warszawy. Ale ona, proszę wysokiego sądu — nie. Jak do ściany. „Mam ci obrzydzać, jak ty mnie?” — woła. — Nigdy! No i zaczęliśmy się kłócić. Od słowa do słowa, wysoki sąd rozumie, codziennie, przez tydzień, dwa, miesiąc, i proszę — rozkład pożycia małżeńskiego.

Potem jeszcze ona długo mówiła, ale właściwie to już było prawie to samo. Wszystko jedno, sędzia nie dał się przekonać.

— Nie — powiada. — Nie dam roztoku z powodu pasty do zębów. I nie dał. Dopiero wczoraj zrozumiałam, dlaczego. Spotkałam go przypadkowo w tramwaju. Siedział naprzeciw mnie i jadł jabłko. W pewnej chwili coś szczerknęło... Aha, tu cię mam. No tak, jak się ma szczerzyć zębami, co to na noc do szklanki, to można je szorować szczoteczką i zwykłym mydłem.



Od i do Czytelników

„Mam pewne wątpliwości, czy sprawa, którą poruszę, zasługuje na uwagę — pisze Ob. Nowakowski z Warszawy — ponieważ dotyczy ona rzeczy może nie najważniejszych”.

Ob. Nowakowski porusza obszernie w liście do redakcji zagadnienie estetyki opakowań, reklam itp. Dlatego też z góry możemy powiedzieć, że sprawę tę nie uważamy absolutnie za kwestię, którą można by przemilczeć. Dlatego też oddajemy głos Ob. Nowakowskiemu.

„Poszedłem kilka dni temu do „Delikatesów”, aby kupić córeczce pudełko czekoladek. Stojąc już przed ladą wybierałem oczami takie pudełko, które miałoby ładny, wesoły rysunek, co dla dziecka, które otrzymuje prezent, jest dość ważne. Niestety, na półkach widziałem same brzydoty, zarówno jeśli idzie o rysunek, jak i o kolory. Uprzejma ekspedientka, kiedy ją w tej sprawie zapytałem, odpowiedziała, że, niestety, ozdoby na wszystkich pudełkach są brzydkie i że nieraz już zwracali na to uwagę klienci.

Oczywiście czekoladki kupiłem, ale w domu opadły mnie przykre myśli na temat lekceważenia u nas estetyki reklam i opakowań w ogóle. I tak na dobrą sprawę, gdyby wziąć jakiekolwiek reklamy i kolorowe rysunki, to z trudem znaleźć by można jakąś sensowną i dobrze skomponowaną całość, świadczącą o smaku i umiejętnościach malarskich autora. A przecież mamy świetnych grafików i malarzy, którym nie brakuje na pomysłowości i opanowaniu warsztatu. A więc dlaczego użytkowa wersja prac w tych dziedzinach twórczości traktowana jest po macoszemu. Przecież „widokówki”, opakowania różnych artykułów konsumpcyjnych, reklama w prasie i w kinach — powinny służyć rozwijaniu naszego smaku artystycznego, a nie przyzwyczajaniu społeczeństwo do tandety i amator-szczynny najgorszego gatunku. Wydaje mi się, panie Redaktorze, że należałoby tą sprawą zainteresować zarówno Związek Artystów Plastyków, jak i te zakłady produkcyjne, które puszczają w świat towar „w szacie graficznej”. Pozwalam sobie jednak zauważyć, że jeden czy drugi apel w tej sprawie niewiele poskutkuje, jeśli prasa nie rozpocznie ostrej kampanii i nie przeprowadzi „procesu dowodowego”, reprodukcją różne bohomy i opatrząc je odpowiednim krytycznym komentarzem. Wydaje mi się, że wdzięczna to rola dla waszego tygodnika”.

Uwagi przytoczone powyżej są nie tylko słuszne, ale zasługują istotnie na poparcie z naszej strony. Dlatego też inicjatywa Ob. Nowakowskiego będzie w najbliższym czasie podjęta przez redakcję „SWIATA” z uwzględnieniem możliwie szerokiego wachlarza szmery, która zaciążyła na masowej produkcji pseudo-artystycznych „dzieł” różnych pacykarzy i knociarzy, posiadających więcej sprytu i żyłki handlowej niż umiejętności i talentu.

Na marginesie należy dodać, że ta „radosna twórczość” obrotowych i przedsiębiorczych amatorów dotyczy nie tylko dziedziny plastyki, ale także słowa pisanego, produkowanego na użytek różnych instytucji widowiskowo-rozrywkowych.

W chwili, kiedy powstaje w większych kawiarniach dość dużo tzw. kabaretów artystycznych, zagadnienie walki ze szmيرًا staje się aktualną potrzebą. Sądziemy, że w tej walce pomogą nam zarówno Czytelnicy, jak pisarze i artyści-plastycy.

„SWIAT”

NOWE KSIĄZKI

NOWOŚCI „ISKIER”

James Fenimore Cooper — **POGROMCA ZWIERZĄT CZYLI PIERWSZA ŚCIEŻKA WOJENNA**. Pełna przygód historia młodego myśliwego w dziewiętnastych wiekach Ameryki Północnej od przeszło 100 lat stanowi ulubioną lekturę młodzieży wszystkich krajów. Nowego polskiego przekładu dokonał Kazimierz Piotrowski, on też jest autorem obszernej przedmowy poświęconej życiu i twórczości Coopera. **POGROMCA ZWIERZĄT** jest pierwszym ogniwem cyklu powieściowego pt. **PIĘCIOKSIĄG PRZYGÓD SOKOLEGO OKA**. W cyklu tym Cooper ukazał z całą ostrością cynizm polityki kolonizatorów wobec Indian, demaskując równocześnie rasistowskie próby uzasadnienia eksterminacji czerwoności. Jako następne tomy cyklu ukazały się: **OSTATNI MOHIKANIN**, **TROPICIEL ŚLADÓW**, **PIONIEROWIE I PRERIA**.

Jack London — **WYGA**. Pełna przygód powieść o poszukiwaczach złota od dziesiątków lat stanowi „złota pozycję”, czytana z zapałem przez młodzież wszystkich kontynentów.

Z innych nowości wydawniczych Iskier wymienić należy kilka pozycji polskich autorów, a mianowicie: Zbiór reportaży Lucjana Wolanowskiego o nowej Czechosłowacji pt. **NA POŁUDNIE OD BABIEJ GÓRY**, książkę Zbigniewa Stolaraka od NITKI DO KŁĘBK — o francuskich włókienniarzach, opowiadanie o harcerzach pt. **TOWARZYSZE PANNY ELŻBIETY** pióra Edwarda Marceja oraz Tadeusza Kwiatkowskiego historyczna powieść z XVII wieku pt. **SIEDEM ZACNYCH GRZECHÓW GŁÓWNYCH**.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefon: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wileńska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłóślodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 697. Papier rotogr. V/80—82 cm — 5-B-40640 podpisano do druku 8.12.54 r.

Ściąg dalszy ze str. 21

cie, skończy się wojna, z takich kronik będzie można całe powieści pisać”. W naszkicowanych tu bowiem sylwetkach polskich komunistów jest piękny materiał, z którego mogą powstać dzieła literackie. Z zebranych wiadomości o gen. Świerczewskim powstała już książeczka dla młodzieży „O człowieku, który się kulom nie kłaniał”, wyczerpała ona jednak niezwykle interesujący i pasjonujący materiał zaledwie częściowo.

Inny wątek, przewijający się przez zapiski, wiąże się ze sprawą, którą wyraża zdanie: „Wszędzie, po dwóch stronach frontu, kołacz w naszych ludziach dręczące pytanie: „Czy wiedzą o nas?” — Ten przejmujący wątek, nabrzmiały od łez i gniewu, nasycony nieprzerwaną łącznością wychodźstwa z ojczyzną i nieustanną o niej myślą, ilustruje epizod zapisany przez autorkę 17 sierpnia 1944 r.: Czolgiści „Westerplattowcy” po bitwie w rejonie Magnuszew — Ryczywół — Warka znaleźli zapadłą bratnią mogiłę sprzed pięciu lat. Kiedy na tablicy zmytej przez deszcze, wypalonej przez słońce odczytali z trudem gorzkie słowa: „Zginęli za utracę Polskę w 1939 roku”, wtedy pełni uniesienia zmienili napis, dopisując „czarnym tłustym smarem, wyciągniętym z wnętrza własnego czołgu, z czołgu z białym orłem na pancernej pokrywie, z czołgu z najlepszej radzieckiej stali: „Za zmartwychwstałą Polskę”. Jakże wzruszający jest ten epizod, w jakim pięknym i wymownym skrócie streszcza sens bojowego szlaku prowadzącego, według słów poety, „z ziemi gościnnej do Polski”!

Jeszcze raz trzeba powtórzyć: otrzymaliśmy książkę niezwykłą, jedyną w swoim rodzaju. Broniewska, znana dotąd jako autorka książek dla młodzieży, ukazała wyjątkowej miary talent narratorski, pełen temperamentu i rozmachu, obdarzony umiejętnością kształtowania wzruszeń o rozległej skali.

Książka, której treść przeżywamy tak blisko, staje się dzięki temu pasjonującą lekturą. Przekonają się o tym czytelnicy drugiego wydania, którego książka doczekała się w stosunkowo krótkim czasie.

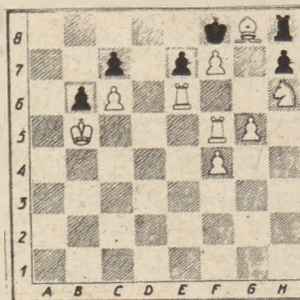
HIERONIM MICHAŁSKI

SHAMPOO RUMIAŃKOWY

ROZJASNIA WŁOSY I NADAJE IM MIĘKKOŚĆ I PUSZYSTOŚĆ

SZACHY

ZADANIE POZAKONKURSOWE R. Ponomarew



Mat w 2 posunięciach

PARTIA NR 134

grana podczas turnieju strefowego w Monachium w czerwcu 1954 r.

Partia katalońska

Białe: Donner (Holandia)
Czarne: Lokvenc (Austria)

1. c2—c4 Sg8—f6 2. d2—d4 e7—e6 3. g2—g3

W ten sposób białe nie dopuszczają ani do obrony Nimzowitscha, ani do nowoindyjskiej obrony.

3... d7—d5 4. Gf1—g2 d5:c4 5. Hd1—a4+ Sb8—d7 6. Ha4:c4 a5—a6 7. Hc4—c2 c7—c5 8. Sg1—f3 Wa8—a7

Posunięcie to wygląda wprawdzie nienaturalnie, ale jest dobre. Ma ono na celu przygotowanie ruchu b7—b5 i przeprowadzenie wieży na c7.

9. 0—0 b7—b5 10. a2—a4 b5—b4 11. Sb1—d2 Gc8—b7 12. Sd2—b3 Gb7—e4 13. Hc2—d1 c5—c4 14. Sb3—d2 Ge4—d5 15. Sf3—e1 Wa7—c7

Należało grać po prostu 15... Gg2 16. Sg2 Wc7 17. e4—Ge7 z równą grą.

16. e2—e4 Gd5—b7 17. Hd1—e2 Hd8—c8

Czarne mają już trudności z zakończeniem rozwoju, gdyż po 17... Ge7 18. e5 straciłyby piona c4.

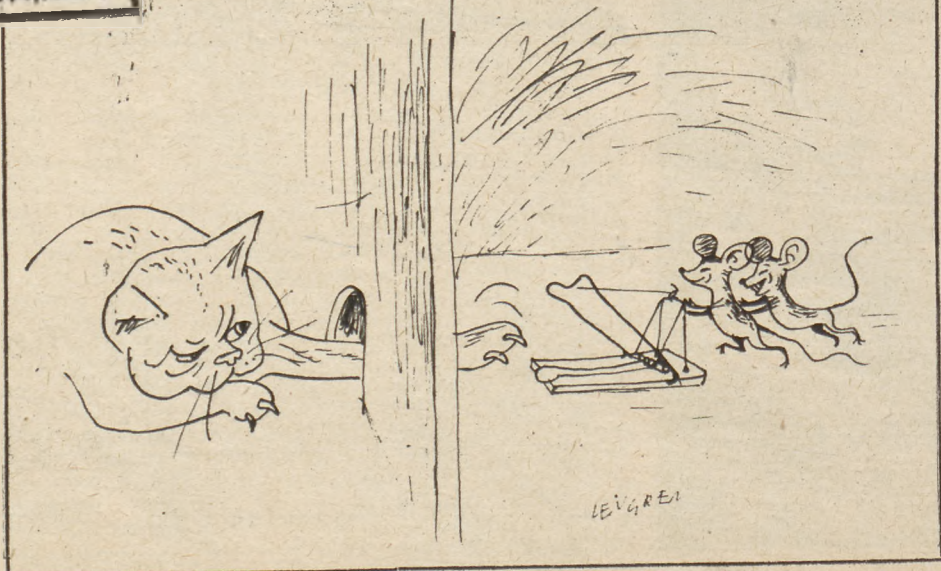
18. d4—d5 a6—a5?

Po tym białe czarne dostają się pod silny atak. Największe szanse obrony dawało 18... e5.

19. d5:e6 f7:e6 20. e4—e5 Sf6—d5 21. Sd2—e4. Sd7:e5 22. Se4—g5 Se5—f7 23. Gg2—h3! Sf7:g5 24. Gc1:g5 Ke8—f7 25. Se1—f3 Sd5—e7 26. Sf3—e5+ Kf7—g8 27. Se5—d7!

i czarne poddały się, gdyż przed matem mogą się uratować tylko za cenę poważnych strat materialnych.

LENGREN



Tylko dla KOBIEC

JESZCZE O SPODNIACH...

(Dokończenie)

— A więc leżysz sio-
stro kochana — rozpo-
częła tyradę Franka,
pomagająca mi w prze-
glądaniu korespondencji
od Czytelniczek. — Ma-
my 78 listów „za“ spod-
niami, a 3 listy „prze-
ciw“. I to w tych 3 jest
jeden list od mężczyzny,
czego w ogóle nie liczę.
Gdyby nasz spór o spod-
nie rozgrywał się na
przykład w koszykówce,
twój obóz „przeciw“ do-
stałby 78 koszy, czyli
wypadlibyście z tabeli.
Po prostu nie ma się z
kim liczyć. Zero. Kropka.
— Jednak obstarę przy
swoim — chłodno stwier-
dza Alina.

— Oczywiście, konser-
watystka! Należysz do
tego typu ludzi, którzy w
XX wieku nie daliby
prawa głosowania kobie-
tom, przed 80 laty by-
łabyś przeciw wstępowa-
niu kobiet na wyższe u-
czelnie, a jeszcze daw-
niej — paliłabyś na sto-
sie za przekonania postę-
powe. Potencjalna kon-
serwatystka!

(Starsza siostra jest
przyparta do muru).
Franka dalej: — Pew-
nie tak cię buntują twoi
koledzy z polonistyki!
(Założę się, że żaden z
nich w życiu nie kopnął
piłki!) Wyobrażam sobie
jak się pytają: „Napraw-
dę koleżanko BYŁYŚCIE
przeciw spodniom?“

— Mówi się „koleżan-
ko byliście, spaliście, ko-
leżanko uczyliście się“ —

odgryza się Alina. — Ta-
kich błędów językowych
nie popełnia żaden z
moich kolegów. To już
twoja specjalność!

— Mniejsza o kolegów
— wycofuje się Franka. —
Mogę tylko stwierdzić,
że dobrze wybrałaś sobie
wydział — polonistykę,
masz go pod nosem i
nie musisz jeździć tram-
wajem. Spróbowałabyś
w twojej wąskiej kiecce
i pantoflach na słupkach
wejść do tramwaju na
Placu Konstytucji na
przykład. I to o godz. 4
po południu! Raz — nie
podniesiesz nogi na wy-
sokość metra, co tam mu-
szą robić wszyscy, a po-
tem przy twoich mar-
nych mięśniach wypchną
cię z tramwaju, a lepiej,
przynasz, upadać na
ziemię w spodniach niż
spódnicy...

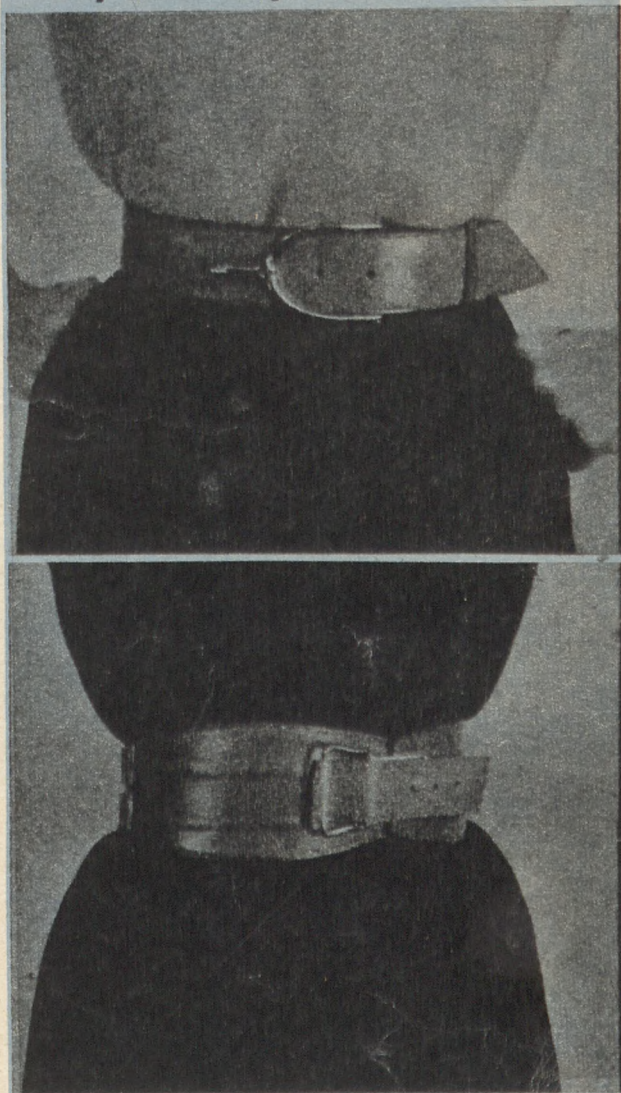
— No, a jeżeli kobieta
jest dość tęga i spodnie
podkreślają tylko tuszę, to
co ma robić?

— To co piszą Czytel-
niczki. Zapaść na okrąg-
łe kształty dłuższe
wdzianko!

— A przyjemnie nara-
żać się na kpiny i złośli-
wości ludzkie? Ileż to
razy styszysz nieprzyjem-
ne uwagi!

— Nie przejmuję się
tym. Mężczyźni też daw-
niej nosili suknie i pew-
nie śmiano się z pierw-
szego Rzymianina, któ-
ry zamiast tuniki wło-
żył spodnie! I co z tego?
Dzisiaj z wyjątkiem

Czego chcemy od przemysłu



Pasków! Pasków! Pięknych sportowych pasków!

Szkotów, Greków i Al-
bańczyków, którzy na
święto kładą spódnice,
wszyscy mężczyźni DLA
WYGODY przeszli na
spodnie... I nikt nie wi-
dzi w tym nic nadzw-
yczajnego!

— I naprawdę twier-
dzisz, Franka, że nie ma
co się przejmować kpi-
nami szefa w biurze, któ-

ry pyta złośliwie na wi-
dok spodni noszonych
przez kobietę: „Co to,
chciałaby pani być męz-
czyzną?“

— Należy równie zło-
śliwie odpowiedzieć: „Ja?
Nie. A pan?“

Według rozmowy có-
rek opracowała

Annie Ziolkowa

UWAGA NA SUKNIE!

Zamieszczamy tutaj dwie sukienki z ulubionej
przez kobiety „pepliki“. Jeżeli to ma być jedyna
Twoja „lepsza“ sukienka — wybierz raczej
fason z bluzką pod spód, jako praktyczniejszy.



TAK

NIE

PIĘCIORO PRZYKAZAŃ LUDZKICH

(nadesłanych przez Czytelniczek)

- 1) Nie noś do spodni wysokich obcasów.
- 2) Nie noś do spodni kapelusza. Noś beret, chusteczkę lub czapkę.
- 3) Nie maluj się zbyt wiele. Zachowaj sportowy wygląd.
- 4) Zachowuj się równie naturalnie jak w sukni. No-
szenie spodni nie upoważnia do ekstrawagancji w ru-
chach, w zachowaniu.
- 5) Noś do spodni bluzki koszulowe, (nie strojne, wy-
myślne). Swetry luźne. Tęsze — pamiętajcie o dłuż-
szym wdzianku!

